

**ALFRED HITCHCOCK**

**TAJEMNICA  
ZABÓJCZEGO  
SOBOWTÓRA**

**PRZYGODY TRZECH DETEKTYWÓW**

(Przełożyła: ANNA IWAŃSKA)

## **Wstęp Alfreda Hitchcocka**

Witajcie, miłośnicy tajemniczych opowieści. Oto kolejna z przygód Trzech Detektywów. Zwykła wyprawa do wesołego miasteczka przeobraża się tu w koszmar, a cała pomysłowość chłopców zostaje wystawiona na nie byle jaką próbę. Na każdym kroku czyhają na nich niebezpieczeństwa i komplikacje.

Młodzi detektywi zmagają się z porywaczami, z groźnym wrogiem, który tropi ich bezlitośnie. Chłopcy wplątują się w międzynarodową intrygę, a wywikłanie się z niej jest niemal ponad ich siły.

Te sprawy wymagają zdolności dedukcyjnych wszystkich trzech chłopców. Jupiter Jones, zazwyczaj pełniący funkcję mózgu zespołu, staje się w zagadkowy sposób obiektem ataku przestępców i nie może w pełni kierować operacją. To stawia na czołowej pozycji Pete'a Crenshawa, najbardziej sprawnego fizycznie członka zespołu. Pete musi opanować swe lęki i działać z jeszcze większą niż zazwyczaj odwagą. Bob Andrews zaś, skrupulatny dostarczyciel potrzebnych informacji, ma szansę dowieść, że jest tyleż sprytny, co odpowiedzialny.

Chłopcy tropią i są tropieni; od ukrytej w składzie złomu Jonesa przyczepy kempingowej aż po granicę z Meksykiem. Sami odkryjecie niebawem, kto w końcu zwycięży oraz jaki to zdumiewający zbieg okoliczności przewrócił do góry nogami życie Trzech Detektywów.

Alfred Hitchcock

## Rozdział 1

### Falszywy alarm

- Niech nikt się nie rusza! - krzyknął Pete Crenshaw.

Bob Andrews i Jupiter Jones zastygli. Chłopcy znajdowali się w swojej dobrze zamaskowanej siedzibie, mieszczącej się w starej przyczepie kempingowej. Przyczepa była starannie ukryta pod stertami złomu w składzie Jonesa, ale zawsze istniało niebezpieczeństwo, że ktoś natrafi na jedno z wiodących do niej wejść. Bob i Jupe rozejrzeli się uważnie po małym biurze i nasłuchiwali z napięciem. Czyżby Pete usłyszał coś niepokojącego?

- Co... co się stało, Pete? - szepnął Bob.

Pete przeszywał spojrzeniem obu przyjaciół.

- Ktoś ukradł moje drugie śniadanie! - oświadczył.

Bob wytrzeszczył oczy.

- Twoje... twoje śniadanie? To wszystko?

- Twoje drugie śniadanie, Pete? - zawtórował mu Jupiter z niedowierzaniem.

Smukły Drugi Detektyw wybuchnął śmiechem.

- Nie, nic, tak tylko zażartowałem. Ale moje śniadanie to ważna sprawa. Zaczynam być głodny.

- Kiepski żart - powiedział Jupiter surowo. - Falszywy alarm bywa niebezpieczny. Znasz historię o chłopcu, który podnosił krzyk dla żartu. Tego rodzaju zabawa może...

Jupiter, tęga głowa Trzech Detektywów, bywał nieco napuszony, zwłaszcza kiedy wygłaszał pouczające mowy. Bob i Pete często musieli sprowadzać go z powrotem na ziemię.

- Gadaniem się nie wymigasz - przerwał mu Pete. - Założę się, że kiedy byliśmy z Bobem na zewnątrz, w pracowni, nie mogłeś się oprzeć pokusie. To ty zwinąłeś moje drugie śniadanie.

Jupiter poczerwieniał.

- Nieprawda! - wykrzyknął zapalczywie.

Zażywny, a właściwie już po prostu gruby przywódca detektywów nie znosił żadnych aluzji do swego apetytu.

- A jednak ktoś je zjadł - upierał się Pete.

- Może wzięłeś je do pracowni i tam zostawiłeś? - podsunął Bob.

- W każdym razie, można z tym poczekać - powiedział Jupiter, odzyskując pewność

siebie. - Nie zdecydowaliśmy jeszcze, dokąd się jutro wybierzemy. To nasza ostatnia szansa na jakieś rozrywki przed rozpoczęciem roku szkolnego. Całe lato przepracowaliśmy w składzie, więc chyba zasłużyliśmy na prawdziwą wycieczkę. W Disneylandzie byliśmy już wiele razy, wybierzmy się teraz do "Magicznej góry". Nigdy tam nie byłem.

- Ja też nie. Jak tam jest? - zapytał Pete.

- To jest jedno z największych i najzabawniejszych wesołych miasteczek na świecie - powiedział Bob z zapalem. - Nie ma tam krainy fantazji, jak w Disneylandzie, ale są cztery lunaparkowe kolejki wysokościowe. W jednej zatacza się pętlę głową w dół! Są dwie ślizgawki wodne, na których można przemoknąć do suchej nitki! Są też specjalnego rodzaju diabelskie młyny, mające więcej niż półtora tysiąca metrów wysokości, i dziesiątki innych atrakcji. Wszystko po przystępnej cenie. Nie trzeba żadnego karnetu, raz kupujesz bilet i możesz jeździć, na czym chcesz.

- Wygląda to kusząco - powiedział Pete.

- Jedziemy więc - zdecydował Jupiter. - Żeby było jeszcze fajniej, pojedziemy tam z fasonem... rolls-royce'em! Telefonowałem już do Worthingtona i samochód jest jutro do wzięcia.

- Cha, cha! - zaśmiał się Bob. - Pomyślą, że jesteśmy milionerami! Ale będą tam mieli miny, jak zajedziemy rollsem. Nie mogę się doczekać!

- Wątpię, czy tego dożyję - jęknął Pete. - Umieram z głodu. Lepiej przyznajcie się, gdzie schowaliście moje śniadanie.

- Pete, nie schowaliśmy - zapewnił Bob.

- Nikt nie tknął twego śniadania - dodał Jupiter zmęczonym tonem. - Wyniosłeś je prawdopodobnie do pracowni. Chodźmy poszukać, bo nigdy nie ułożymy żadnych planów.

Przechodząc od stów do czynów, Jupiter podniósł klapę w podłodze przyczepy i wcisnął się przez otwór pod nią do Tunelu Drugiego. Było to główne wejście do przyczepy, czyli Kwatery Głównej. Tunel stanowiła obszerna rura metalowa, biegnąca pod stertami złomu aż pod przyczepę. Pete, wysoki i krzepki, musiał się w niej praktycznie rozpląszyć na brzuchu. Ślizgał się jednak przez rurę z łatwością za sapiącym, pulchnym przywódcą. Na końcu Bob, najmniejszy z chłopców, czołgał się bez trudu na czworakach.

Po wyjściu z tunelu znaleźli się na zewnątrz pracowni Jupitera, usytuowanej w narożniku składu. Od deszczu chroniło ją zadaszenie, które biegło wokół całego placu po wewnętrznej stronie ogrodzenia, a od reszty składu odgradzały ją góry rupieci. Chłopcy mieli tu prasę drukarską i różne narzędzia, którymi posługiwali się, przekształcając zalegające skład stare przedmioty w użyteczny sprzęt detektywistyczny. Stało tam również krzesło, kilka

skrzynek i warsztat. Na nim właśnie Bob zobaczył torebkę Pete'a.

- Widzisz? Tu zostawiłeś.

Pete podniósł podartą torebkę.

- Ale kto zjadł zawartość?

- Pewnie sam zjadłeś, tylko o tym zapomniałeś - powiedział zniecierpliwiony Jupiter.

- Ja? Miałbym zapomnieć, że zjadłem dobrą kanapkę z szynką?

- Założę się, że to szczury - Bob oglądał poszarpaną torebkę. - Do wszystkiego się dobiorą.

- Myślisz, że ciocia Matylda by pozwoliła, żeby tu biegały szczury? Nie ma mowy! - wykrzyknął Pete.

- Ciocia się stara - roześmiał się Jupiter - ale nawet ona nie może przegonić ze składu wszystkich szczurów.

Ciocia Jupitera była osobą groźną i prowadziła skład złomu żelazną ręką. Jej mąż, Tytus, spędzał większość czasu w rozjazdach, poszukując nowego towaru. Jupe, wcześniej osierocony, mieszkał z wujostwem, odkąd sięgała jego pamięć.

- Chodźcie, może ciocia Matylda da nam wszystkim drugie śniadanie. - Jupe skierował się do biura składu, ale gdy znaleźli się bliżej głównej bramy, zwolnił kroku. - Chłopaki, czy widzieliście już przedtem ten samochód?

Bob i Pete spojrzeli w kierunku otwartej bramy. Naprzeciw niej, po drugiej stronie ulicy stał zielony mercedes.

- Zauważyłem go, kiedy tu podjeżdżał - mówił Jupiter z namysłem. - A raczej się podtoczył i w końcu stanął.

- No to co, Jupe? - powiedział Pete. - Samochód może się tu zatrzymać. Może przyjechał jakiś klient.

- Możliwe - przyznał Jupe. - Ale nikt z niego nie wysiada i myślę, że widziałem już ten sam samochód rano. Przejechał koło bramy równie wolno.

- Czekajcie! - zawołał Bob. - Ja go też chyba widziałem! Jakąs godzinę temu jechałem tu rowerem, a ten samochód stał na ulicy za składem.

- Może to oni ukradli moje śniadanie!

- Pewnie to międzynarodowy gang złodziei śniadań - powiedział Bob z powagą.

- Przestań już z tym śniadaniem - burknął Jupiter niecierpliwie, nie spuszczać oczu z samochodu. - Jeśli go nie zjadłeś, to tak jak mówi Bob: szczury je zjadły. Miałbym ochotę się dowiedzieć, czego tu szuka ten samochód.

Bob się uśmiechnął.

- Może czekają na następną okazję, żeby ukraść kanapkę z szynką.

- Tak, Bob, wygląda, że na coś czekają - powiedział Jupiter. - Przekonajmy się.

Jupiter zazwyczaj dopatrywał się tajemnicy niemal we wszystkim i, co najdziwniejsze, przeważnie miał rację! Bob i Pete od dawna przestali podawać w wątpliwość jego najbardziej szalone przeczucia. Czasami były mylne, ale bardzo rzadko.

- Pete, cofniesz się w głąb składu i przekradniesz się potem w pobliże bramy - wydawał teraz instrukcje. - Ukryjesz się i będziesz obserwował samochód. Bob i ja wyjdziemy ze składu tyłem, przez Czerwoną Furtkę Korsarza, i okrążymy skład od zewnątrz. Bob, ty pójdziesz w lewo, ja w prawo. Będziemy obserwować samochód ze wszystkich stron.

Pete skinął głową. Odczekał, aż przyjaciele wymkną się ukrytym wyjściem w płocie na tyłach składu. Następnie, klucząc między stertami złomu, przekradł się wzdłuż ogrodzenia do głównej bramy. Wyrztał ostrożnie. Mercedes stał wciąż na miejscu. W środku siedziało dwóch mężczyzn. Pete cofnął się szybko. Położył się na brzuchu i podczołgał z powrotem do bramy. Nie podnosząc się, wyrztał ponownie.

- Dzień dobry! Coś zgubiłeś? Może ci pomóc?

Pete przełknął ślinę. W bramie, dokładnie nad jego głową, stał tęgi, silnie opalony mężczyzna w przewiewnym ubraniu. Miał brązowe, kędzierzawe włosy, małe niebieskie oczy i uśmiechał się uprzejmie. Był wyraźnie ubawiony widokiem czołgającego się na brzuchu Pete'a.

- Ja... ja... - wyjąkał Pete, czując się ośmieszony - zgubiłem piłkę. Szu... szukam jej.

- Żadna piłka się tędy nie potoczyła - powiedział mężczyzna z powagą.

- Chyba poleciała w inną stronę - Pete podniósł się niepewnie.

- Pech - opalony mężczyzna rozłożył miejscową mapę drogową. - Może będziesz mógł nam pomóc. Chyba zabłądziliśmy.

Pete dopiero teraz zauważył, że drzwi zielonego mercedesa są otwarte, a wewnątrz siedzi tylko jedna osoba. Tęgi facet skinął głową w stronę samochodu.

- Zdaje się, że jeździliśmy w kółko. Dość głupio, nie? Staraliśmy się znaleźć waszą starą misję.

Pete zauważył, że mężczyzna mówi z akcentem brytyjskim, ale nie dokładnie takim, jaki dotąd słyszał. Samochodem jechali po prostu zabłąkani turyści! Ten cały Jupe i jego przeczucia!

- Ach, pewnie - Pete wziął mapę i pokazał mężczyźnie punkt, w którym są obecnie, i miejsce przy autostradzie nadbrzeżnej, gdzie znajdowała się stara hiszpańska misja.

- Niełatwo ją znaleźć.

- Właśnie - skinął głową mężczyzna. - Bardzo ci dziękuję.

Wsiadł z powrotem do zielonego mercedesa i samochód ruszył. Przybiegli Bob i Jupiter. Jupe patrzył za oddalającym się samochodem.

- To po prostu turyści, Jupe - powiedział rozgoryczony Pete. Opowiedział, co zaszło, i dodał: - Facet miał zabawny akcent angielski.

- Zabłądzili? I to wszystko? - Jupiter był zdeprymowany.

- A czego się spodziewałeś? Nie prowadzimy teraz żadnego dochodzenia - odpowiedział Pete.

Jupiter w zamyśleniu zmarszczył czoło.

- To brzmi prawdopodobnie, skoro są cudzoziemcami, ale...

- Jupe! - jęknął Pete. - Zabłądzili, i to wszystko!

- Zajmijmy się lepiej planami naszej wyprawy! - powiedział Bob.

- Słusznie - przytaknął Pete.

Bob i Jupiter wymienili spojrzenia. Blisko bramy stał kosz ze starymi piłkami tenisowymi. Zaczęli obaj rzucać nimi w Pete'a, a ten, śmiejąc się, uciekał w głąb składu.

## Rozdział 2

### Porwany!

Następnego rana Bob wstał wcześniej, ubrał się szybko i zbiegł na dół, do kuchni. Ojciec Boba odłożył gazetę i z uśmiechem przyglądał się synowi, spiesźnie pałaszującemu śniadanie.

- Macie jakieś ważne dochodzenie tego rana? - zapytał.

- Dziś nie, tato. Wybieramy się do "Magicznej góry", i to rolls-royce'em ozdobionym złoceniami. Worthington nas zawozi!

Pan Andrews gwizdnął z podziwem.

- Trzej elegancyści młodzieńcy w lunaparku, co? Obawiam się, że kiedy wydorosłejecie, będzie wam trochę nudno.

- Nie będzie, jeśli Jupe wydorosłaje z nami!

- Tak - roześmiał się pan Andrews - chyba nie będzie.

- Prawdopodobnie wrócimy dość późno, ale postaramy się zdążyć na kolację, tato! - zawołał Bob i wybiegł z domu.

Wsiadł na rower, przemierzył rozświetlone ulice Rocky Beach i wjechał do składu przez główną bramę. Pete siedział przed budką, w której mieściło się składowe biuro, i spoglądał na wspaniały samochód. Rolls-royce był nieco staromodny, z ogromnymi przednimi reflektorami i długą, czarną, lśniącą jak skrzydło fortepianu, maską. Luksusowy, jak przystało na ten doskonały samochód, był pomalowany czarnym lakierem. W jednym tylko przechodził własną świetność - wszystkie chromowane części, nawet zderzaki były pokryte olśniewającym złotem!

- Ach! - wykrzyknął Bob. - Zdążyłem już zapomnieć, jaki jest piękny.

Wysoki, szczupły mężczyzna w liberii szofera delikatnie polerował miękką szmatką jedno ze złocen.

- Nawet mnie się to zdarza, kiedy jakiś czas jeżdżę innym samochodem, panie Andrews - powiedział z uśmiechem na swej pociągłej, pogodnej twarzy.

Jupiter wygrał kiedyś w konkursie prawo do użytkowania fantastycznego, starego auta, a potem pewien wdzięczny klient załatwił chłopcom gratisowe wynajmowanie samochodu, kiedy tylko chcieli. Agencja, do której należał rolls-royce, zlecała prowadzenie go wyłącznie Worthingtonowi i tym sposobem szofer stał się dobrym przyjacielem detektywów. Obstawiał jednak przy zwracaniu się do chłopców w formie, jaką zwykł



stosować wobec starszych i możniejszych klientów.

- Czy pracujecie nad jakąś ważną sprawą, paniczu Andrews? - zapytał z błyskiem w oku.

- Tym razem nie. Wybieramy się do "Magicznej góry" i pomyśleliśmy, że byłoby zabawnie pojechać tam rollsem.

- Wycieczka? Wspaniale! Nikt bardziej nie zasługuje na odpoczynek niż Trzej Detektywi. Nim przyjdzie panicz Jones, zawiadomię agencję, dokąd jedziemy, i wezmę paliwo.

Wsiadł do rolls-royce'a i wyjechał ze składu. Bob podszedł do Pete'a.

- A gdzie się podziewa Jupe?

- Jest w Kwaterze Głównej. Robi jakieś plany. Nie powiedział mi, jakie.

- Chodźmy zobaczyć.

Przezołgali się przez Tunel Drugi i przez klapę w podłodze weszli do ukrytej przyczepy. Jupiter zagłębiony był w kolorowych broszurkach, zalegających biurko.

- Worthington zaraz będzie - powiedział Bob. - Jesteś gotowy?

- Za chwileczkę, Bob - zażywny przywódca zespołu pracował jeszcze przez minutę, po czym odchylił się na oparcie krzesła z wielce zadowoloną miną. - No, myślę, że jest dobry.

- Co? - zapytał Pete niespokojnie.

- Dokładny plan naszej wycieczki! - oświadczył Jupiter promiennie. - Wziąłem mapę "Magicznej góry" i zakreśliłem najciekawszą dla nas trasę tak, żeby odbyć jak najwięcej jazd w jak najkrótszym czasie. Wziąłem pod uwagę dwukrotne jazdy na specjalnie atrakcyjnych urządzeniach i ewentualne zmiany z racji długich tras kolejek lub zamknięcia jakiegoś działu z powodu wiatru lub defektów technicznych. Następnie...

Pete jęknął.

- Jupe... hm, może po prostu po wejściu pójdziemy w prawo lub w lewo i przejedziemy się na tym, co napotkamy po drodze? Tak po prostu obejdziemy wszystko dookoła.

- I będziemy robić to, na co nam przyjdzie ochota - dodał Bob.

- Po prostu obejść? - Jupiter zmarszczył czoło. - Wysoce nieefektywne...

- A czy nie możemy się po prostu zabawić? - przerwał mu Pete.

- No, jeśli nie podoba wam się mój plan, nie musicie go zaakceptować - powiedział Jupiter sztywno.

Zirytowany popatrzył z miłością na swój plan, po czym wzruszył ramionami i wrzucił go do kosza. Pete i Bob zaczęli wiwatować i Jupe musiał się w końcu uśmiechnąć. Zeszli

spiesznie przez otwór w podłodze.

Worthington był już z powrotem. Otworzył chłopcom drzwi rolls-royce'a i śmiejąc się z podekscytowaniem, wsiedli do wspaniałego samochodu.

- Do "Magicznej góry", mój dobry człowieku! - zawołał Jupiter.

- Tak jest, sir. Z przyjemnością - uśmiechnął się Worthington. "Magiczna góra" znajdowała się w pewnej odległości na wschód od Rocky Beach, w głębi lądu, wśród gór południowej Kalifornii. Worthington wyjechał z miasta na boczną szosę. Dotarli już na pierwsze zbocza suchego i piaszczystego podgórze, gdy Worthington zwrócił się do nich nagle:

- Panowie, twierdziliście, o ile pamiętam, że nie prowadzicie obecnie żadnego dochodzenia?

- Niestety nie - potwierdził Jupiter. - Dlaczego pan pyta?

- Ponieważ, jeśli się nie mylę, jesteśmy śledzeni.

- Śledzeni!? - wykrzyknęli wszyscy trzej równocześnie, obracając się do tyłu.

- Gdzie? - zapytał Bob. - Nie widzę żadnego samochodu.

- W tej chwili jest niewidoczny za zakrętem, ale zauważyłem go, gdy tylko wyjechaliśmy ze składu złomu. Cały czas jedzie za nami. Zielony mercedes.

- Zielony mercedes! - powtórzył Jupiter. - Czy jest pan tego pewien?

- Samochody to mój zawód, paniczu Jones - odrzekł Worthington z przekonaniem. - Pojawił się teraz! I zbliża się do nas.

Trzej detektywi wypatrywali przez tylną szybę samochodu. Nie było wątpliwości. Za nimi jechał zielony mercedes i zbliżał się gwałtownie!

- To ten sam samochód, jak nic! - krzyknął Pete.

- A więc nie byli to po prostu zagubieni turyści! - triumfował Jupiter. - Miałem rację!

- Chy... chyba tak - przyznał Pete nerwowo. - Kto to może być? Czego od nas chcą?

- Nie wiem i chyba nie mamy teraz ochoty się tego dowiedzieć - odparł Jupiter ponuro.

- Być może będziemy musieli! - krzyknął Bob w panice. - Jupe, oni się zbliżają! Zrównują się z nami!

- Worthington! - zawołał Jupiter. - Czy może ich pan zgubić?

- Dołożę wszelkich starań - odparł Worthington spokojnie.

Wcisnął pedał gazu do deski i złocony rolls skoczył do przodu. Byli już w górach i wąska, dwupasmowa szosa wiła się nad stromymi zboczami skalistych kanionów. Worthington chwycił mocniej kierownicę, prowadząc lśniące auto po ostrych zakrętach na

krawędzi przepaści.

Zielony mercedes zwiększał szybkość. Oba samochody brały zakręty z piskiem opon, zbliżając się ryzykownie na sam skraj przepaści. Na prostej drodze stary, potężny rolls-royce mógłby umknąć, ale był nieporównywalnie mniej zwrotny od mniejszego i nowszego mercedesa. Zielony samochód zbliżał się nieubłaganie.

- Zrównuj się z nami - jęczał przerażony Pete.

- Jeszcze szybsza jazda w górach jest zbyt niebezpieczna - powiedział spokojnie Worthington, wpatrując się chłodnym wzrokiem w drogę przed samochodem. - Ale być może...

Pochylił się nad kierownicą. Rolls wyszedł właśnie z ostrego zakrętu i mercedes był chwilowo niewidoczny. Worthington nacisnął nagle hamulec, odbił na niemal prostopadle z boku po prawej i skręcił w wąską, polną drogę po drugiej stronie szosy. Przyspieszył ponownie i ze zręcznością doświadczonego szofera poprowadził lśniące auto drogą biegnącą wśród karłowatych dębów i zarośli.

Za nimi mercedes pędem minął odgałęzienie drogi.

- Zgubił ich pan! - wykrzyknęli Bob i Pete.

- Na chwilę - powiedział Worthington. - Niebawem się zorientują, że zjechaliśmy z szosy. Musimy szybko jechać dalej.

Dodał gazu, rozpędzając potężny wóz na wąskiej drodze - i nagle zahamował ze zgrzytem.

- Przykro mi, chłopcy - powiedział zgnębiony.

Droga kończyła się w pustym, zamkniętym kanionie!

- Jedźmy z powrotem na szosę! - zadysponował Jupiter. - Szybko. Może się jeszcze nie zorientowali!

Worthington zawrócił i skierował się z powrotem ku szosie.

Mercedes omal nie zderzył się z nimi czołowo, gdy wychodzili z ostrego zakrętu. Worthington z boku i nim zdążył zapanować nad samochodem i zawrócić, z mercedesa wyskoczyli dwaj mężczyźni i podbiegli do rolls-royce'a. Mieli w ręku pistolety!

- Wysiadać! Już! - warknął jeden z nich. Pete go nie znał, ale rozpoznał drugiego. Był to ten sam człowiek, który pytał go wczoraj o drogę.

Worthington i chłopcy wysiedli ostrożnie z rollsa.

- Ależ, mój panie - odezwał się Worthington. - Nie wiedzieliśmy...

- Milczeć! - warknął pierwszy mężczyzna.

Drugi złapał przerażonego Jupitera, wetknął mu knebel do ust, zarzucił worek na

głowę i zaciągnął do mercedesa. Pierwszy machnął groźnie pistoletem w stronę Boba, Pete'a i Worthingtona.

- Nie jedźcie za nami, jeśli go chcecie jeszcze zobaczyć i jeśli wam życie miłe! - odwrócił się i pobiegł do mercedesa.

Ruszyli i wkrótce znikli im z oczu. Wraz z nimi zniknął też Jupiter.

## Rozdział 3

### Fatalna pomyłka

Pete rzucił się do rolls-royce'a.

- Musimy jechać za nimi!

- Nie, Pete! - krzyknęli Bob i Worthington równocześnie.

Pete wytrzeszczył oczy.

- Trzeba przecież pomóc Jupe'owi!

- Pomożemy - Worthington położył dłoń na ramieniu Pete'a. - Ale nie możemy pojechać za nimi. W wypadku porwania należy robić dokładnie to, co nakazali porywacze, a następnie zawiadomić policję.

- Gdybyśmy jechali za nimi, moglibyśmy narazić Jupe'a na niebezpieczeństwo - wyjaśnił Bob. - Trzeba jednak ustalić, w jakim jadą kierunku, i podać to policji! Porywacze nie wiedzą, że w rollsie jest telefon, nie pomyślą więc, że możemy policję zawiadomić natychmiast. Szybko, wejdźmy na to wzgórze, a tymczasem Worthington połączy się z komendantem Reynoldsem!

Worthington pobiegł do samochodu, a Bob i Pete wspięli się po stromym zboczu pobliskiego wzgórza. W kilka chwil dotarli zdyszani na szczyt i utkwili wzrok w miejscu, gdzie droga łączyła się z szosą.

- Widzę ich! - zawołał Bob.

- Jadą na południe, w stronę Rocky Beach, i to dość wolno - zauważył Pete.

- Nie chcą zwracać na siebie uwagi.

- Jeśli komendant Reynolds się pospieszy, może im zagrozić drogę! Chodźmy!

Ślizgając się i potykając, zbiegli ze wzgórza. Worthington w rolls-royce'ie podawał właśnie przez telefon numer rejestracyjny zielonego mercedesa i krótki opis obu mężczyzn.

- Proszę powiedzieć komendantowi, że jadą na południe, do Rocky Beach - powiedział Pete. - Może zdoła ich zablokować, nim zjadą z szosy.

Worthington przekazał wiadomość i słuchał odpowiedzi.

- Dobrze, komendancie. Zostaniemy tu, póki pan nie przyjedzie.

Odłożył słuchawkę i popatrzył na chłopców.

- Czego oni mogą chcieć od Jupitera? Czy jesteście pewni, że ich nie znacie?

- Wczoraj widzieliśmy ich pierwszy raz w życiu - odpowiedział Bob.

- Nie, zupełnie nic nie wiemy! - lamentował Pete.

Patrzyli na siebie, czując się całkowicie bezsilni.

Zakneblowany, w ciemnościach, pod grubym workiem, Jupiter był przerażony. Mercedes zdawał się jechać wolno w dół. Domyślał się, że są na szosie i zmierzają do Rocky Beach. Czego ci ludzie od niego chcą? Kim są? Skąd pochodzi ten dziwny angielski akcent?

Zaczął się kręcić pod workiem i zaraz poczuł pistolet, wbijający mu się w zębra. Jeden z mężczyzn siedział obok niego na tylnym siedzeniu samochodu.

- Siedź spokojnie - powiedział.

Jupiter usiłował coś powiedzieć, protestować, lecz z kneblem, tkwiącym mocno w ustach, wydawał tylko gulgoty i pomruki.

- Uffff... grrrr...

- Bądź cicho! Cisza i spokój, rozumiesz? Jak grzeczny, dobrze wychowany chłopczyk.

Ale Jupiter nadal starał się mówić, zapytać, czego od niego chcą. Wujek Tytus i ciocia Matylda nie mają pieniędzy! Żadnych dużych pieniędzy! Wijąc się i sapiąc, czuł się jak ryba wyciągnięta z wody.

- Powiedziałem, siedź spokojnie! Nie chcesz chyba, żeby twój ojciec stracił jedyne syna?

Jupiter znieruchomiał pod workiem. Jego ojciec? Ależ on nie miał ojca! Ojciec zmarł, kiedy Jupiter był malutki. Rozpaczliwie starał się to wyjaśnić swym ciemnościom.

- Umff... grhhh... ummm...

Pistolet wbił się mocniej w jego zębra.

- Nie mam zamiaru się powtarzać, chłopcze!

- Umff... mmm... ghhh...

Mężczyzna obok niego roześmiał się.

- Co za uparciuch. Zupełnie jak ojciec, co Fred? Pewnie równie zadziera nosa.

- Może lepiej go uciszyć, Walt? - zapytał z przedniego siedzenia Fred.

- Tylko w ostateczności. Nie bardzo mam ochotę targać takiego grubasa, jak straci przytomność.

- Tak, poza tym do domu droga daleka i lepiej, żeby był zdrow i cały, kiedy padnie w ramiona swego tatusia.

Sąsiad Jupe'a znowu wybuchnął śmiechem.

- Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć minę sir Rogera, kiedy go zawiadomimy, że mamy Iana, i poprosimy, żeby szybko zmienił sposób postępowania.

Jupiter pod workiem odchylił się wolno na oparcie siedzenia. Sir Roger? Ian? Nagle

zrozumiał, co się stało. Ci ludzie wzięli go za kogoś innego! Za chłopca, którego ojciec był ważną osobistością! To nie było uprowadzenie dla pieniędzy - to jest jakiś rodzaj szantażu. Porywacze chcieli wymusić na sir Rogerze, ktokolwiek to był, zrobienie czegoś. Ale popełnili pomyłkę. Porwali niewłaściwą osobę! Musi im powiedzieć.

- Ummff... Pmmk... mm...

Tym razem nie otrzymał dźgnięcia w zębra. Mercedes chyba przyspieszył i jechał teraz po równym terenie u podnóża gór. Skręcili ostro z piskiem opon i Jupitera rzuciło w róg. Usłyszał wycie syren! Samochody policyjne! Zawroźnienie się nasilało. Ocala go!... Ale odgłos syren zamierał gdzieś w tyle i w końcu umilkł.

- Niewiele brakowało! - wykrzyknął mężczyzna obok Jupe'a.

- Myślisz, że jechali po nas?

- Na pewno. Jechali z góry. W jaki sposób, u diabła, dowiedzieli się o nas tak szybko?

Jupiter od razu wiedział jak - przez telefon w rolls-royce'ie. Przyjaciele natychmiast zawiadomili policję. Ale porywacze zdołali uciec. Czy policja go teraz odnajdzie? Trzeba powiedzieć porywaczom, że popełnili straszną pomyłkę!

- Raz już się nie udało, Walt - odezwał się ponuro kierowca. - Teraz już musi pójść gładko. Nie mogą mnie złapać.

Jupiter poczuł nagle chłód. Coś im się już nie powiodło! Teraz wzięli niewłaściwego chłopca, ale jeszcze tego nie wiedzą. Zakneblowany nie zdołał im tego powiedzieć. Ale czy nadal chce, żeby się dowiedzieli o swej pomyłce? Co by wtedy zrobili?

Potrzebowali jakiegoś chłopca o imieniu Ian jako broni przeciwko ojcu. Ian byłby z nimi bezpieczny. A Jupiter Jones?

Samochody policji i szeryfa jechały bardzo szybko boczną drogą. Zatrzymały się, wzbijając przed rolls-royce'em tuman kurzu. Komendant Reynolds i szeryf okręgu podbiegli do Worthingtona i chłopców.

- Widzieliście ich? - zawołał Bob.

- Czy ich zatrzymaliście? - pytał Pete.

Komendant Reynolds potrząsnął głową.

- Zablokowaliśmy szosę na pierwszym skrzyżowaniu, przyjechaliśmy prosto tutaj. Nie minęliśmy ich po drodze, nie dojechali też do blokady.

- Musieli się przemknąć przed ustawieniem blokady - powiedział szeryf. - Gdzieś pewnie skręcili. Ale nie mogli jeszcze uciec daleko. Ścigają ich wszystkie samochody, jakimi dysponujemy.

- Ten rejon należy już nie do miasta, ale do okręgu i podlega nadzorowi szeryfa -

wyjaśnił komendant Reynolds. - W takich wypadkach jednak zawsze współpracujemy z szeryfem. Zawiadomiliśmy także policję w Los Angeles.

- Chcemy rozejrzeć się tutaj za jakimiś poszlakami - dodał szeryf.

- Nie sądzę, żebyście coś znaleźli - powiedział Bob ponuro. - Porywacze byli tu zbyt krótko, żeby zostawić ślady.

Bob miał rację. Policjanci i ludzie szeryfa przeszukali każdy centymetr drogi wokół miejsca porwania i nic nie znaleźli.

- Trudno, wracamy na komendę - zdecydował Reynolds. - Czas zawiadomić także FBI.

- Tym razem, dzięki wam i temu rolls-royce'owi mamy wielką przewagę - powiedział szeryf. - Od razu wszczęto pościg i jesteśmy tuż za porywaczami.

- Tak, proszę pana, ale ścigać nie znaczy złapać - zauważył smutno Bob. - Niełatwo będzie znaleźć ten samochód, prawda?

- Prawda, ale obstawiliśmy cały okręg, wszystkie drogi są zablokowane. W żaden sposób nie mogą się wymknąć!

Bob i Pete wsiedli do rolls-royce'a. Jechali w milczeniu do Rocky Beach za samochodem komendanta Reynoldsa. Wymienili tylko pełne niepokoju spojrzenia i wiedzieli, że obaj myślą o tym samym.

W wypadku zablokowania dróg porywacze muszą mieć jakiś plan ucieczki. Jakiś sposób, by się wymknąć, uprowadzając ze sobą Jupe'a.



## Rozdział 4

### Na tropie złoczyńców

Mercedes zatrzymał się.

Jupiter, pod ciężkim workiem, starał się po drodze zgadywać przebywaną trasę, ale auto zbyt często skręcało i kluczyło. Teraz chłopiec nasłuchiwał dających się rozpoznać dźwięków, które mogłyby mu powiedzieć, gdzie się znajduje samochód. Ale panowała zupełna cisza. Nie dobiegał żaden odgłos, nie było słychać ani pojazdów, ani ludzi, ani morza.

- Wyciągnij go - odezwał się mężczyzna z siedzenia kierowcy.

Jupiter usłyszał szcęk otwieranych drzwi i ktoś go wypchnął z samochodu. Pod stopami poczuł twardą ziemię, liście i trawę.

- Ściągnij z niego worek, żeby mógł iść sam.

Szorstko zdjęto worek, okrywający mu głowę i pierś. Światło, rozproszone przez gęste drzewa, omal go nie oślepiło. Otwierał i zamykał oczy, żeby je oswoić z blaskiem, podczas gdy usuwano mu z ust knebel. Z więzów uwalniał go tęgi mężczyzna o kędzierzawych włosach i imieniu Walt, ten sam, który rozmawiał w składzie złomu z Pete'em i siedział obok Jupe'a w samochodzie.

- Teraz będziemy grzeczni, co? - powiedział. - Zachowuj się miło i cicho.

Machnął pistoletem dla podkreślenia, że nie żartuje.

Jupiter skinął głową, ale nie odezwał się. Od momentu kiedy sobie uzmysłowił, że może być w dużo większym niebezpieczeństwie, jeśli porywacze odkryją swą pomyłkę, pragnął tylko, by nie usunięto mu knebla. Chłopiec, którego chcieli porwać, był ich rodakiem i miał zapewne ten sam dziwny akcent. Po pierwszych słowach będą wiedzieli, że Jupe nie jest właściwym chłopcem... chyba żeby spróbował naśladować ten akcent. Pomyślał, że mógłby to zrobić, ale było duże ryzyko. Najmniejszy błąd mógł go zdradzić.

Tęgi Walt przyglądał mu się chwilę, po czym zwrócił się do kierowcy:

- Weź torby, Fred.

Jupiter odetchnął nieco swobodniej. Chwilowo był bezpieczny. Rozejrzał się szybko. Znajdowali się przy innej ziemnej drodze, głęboko wśród dębów i gęstych zarośli, blisko gór. Nic tutaj nie wyglądało ani znajomo, ani obco. Mogli być gdziekolwiek w głębi lądu, w promieniu setek kilometrów od Rocky Beach.

- Dobrze, chłopcze, ruszaj - powiedział kierowca. - Tędy.

Był wyższy i szczuplejszy od Walta. Miał ciemne włosy i małe oczy, osadzone głęboko wśród wyżłobionych wiatrem zmarszczek, i tę samą co Walt głęboką opaleniznę. Najwidoczniej pochodzili z kraju, gdzie słońce grzało mocno i ustawicznie.

Szli po trawie, wzdłuż drogi, przez jakieś pięćdziesiąt metrów, po czym skręcili prosto ku górom. Jupiter nie widział przed sobą żadnej ścieżki, jedynie gęste, niemal nieprzeniknione zarośla.

- Idź przodem, Fred - powiedział Walt. - Dostosujemy się do twego tempa. Jesteś obciążony bagażem.

Kierowca skinął głową, postawił torby na ziemi i rozgarnął krzewy, odsłaniając wejście na wąski trakt. Przepchnął obie torby, po czym sam znikł w zaroślach.

- Ty następny, chłopcze.

Jupiter odnalazł właściwy krzew, odgiął go i ruszył naprzód. Sztywne gałęzie wysunęły mu się spod palców. Podniósł ręce, chowając twarz przed kolcami krzewu, odskoczył w tył i rozłożył się jak długi. Walt go złapał, dźwignął w górę i przeklinając pchnął przez gąszcze.

- Uważaj, chłopcze, bo się mogę zdenerwować!

Jupiter przełknął ślinę i spiesznie ruszył wąską ścieżką. Walt trzymając pistolet w ręce wszedł tuż za nim. Splątane zarośla zamknęły się, nie zostawiając ani śladu po ukrytej ścieżce.

Spiesząc za kierowcą, Jupiter nie zauważył wystającego korzenia, potknął się i znowu wylądował na ziemi. Leżał chwilę sapiąc, ale pozbierał się, nim Walt się do niego zbliżył.

Dwaj porywacze szli prędko przez gęste zarośla, jakby byli tu już przedtem i znali drogę. Jupiter starał się im dotrzymać kroku na ledwie widocznej ścieżce, ale potykał się i jeszcze dwukrotnie padał, nim wepchnięto go do wąskiego, zamkniętego kanionu, pogrążonego w głębokim cieniu gór.

Pod wysoką ścianą skalną stała mała, kamienna chata. Porywacze otworzyli drzwi kluczem, wpakowali Jupitera do środka i drzwi zamknęli.

Jupiter został w chacie sam. Usłyszał za sobą zgrzyt przekręcanego w zamku klucza.

Na komisariacie policji Bob, Pete, wujek Tytus i ciocia Matylda siedzieli na ławce pod ścianą.

- Dlaczego nie wzięliśmy ze sobą naszych sygnalizatorów? - biadał Pete.

- Nie pamiętasz, że są w naprawie? - powiedział Bob. - Nie martw się, Pete. Jupe wymyśli jakiś sposób porozumienia się z nami.

Ciocia Matylda wpatrywała się w szeryfa i komendanta Reynoldsa.

- Czy będziemy tak tu siedzieć cały dzień? - zapytała. - Ci porywacze sami tu przecież nie przyjdą!

Komendant Reynolds potrząsnął głową.

- Proszę pani, przetrząsamy cały obszar miasta i okręgu. Uganianiem się bez sensu niewiele wskóramy. W wypadku porwania cała akcja musi być skoordynowana.

- Wszystkie oddziały policji w Kalifornii, Newadzie, Oregonie i Arizonie zostały postawione na nogi - dodał szeryf. - Skontaktowano się z FBI, a także z władzami Meksyku. Numer rejestracyjny mercedesa rozesłano wszystkim policjantom i wydziałowi pojazdów mechanicznych.

- Eksperci z laboratorium pojechali, żeby ponownie zobaczyć miejsce porwania - podjął Reynolds. - Nie możemy zrobić więcej, póki nie będziemy mieli jakiegoś tropu.

- Ale nic nie stoi na przeszkodzie, żebyście sami poszli trochę popracować! - oświadczyła ciocia Matylda.

- Mamy większe szansę szybkiego schwytania porywaczy, jeśli zostaniemy na miejscu, żeby pokierować akcją z centrali, gdy tylko wpłynie jakaś informacja - odparł szeryf.

To wyraźnie nie przekonało cioci Matyldy i kiedy szeryf z komendantem opuszczali pokój, odprowadziła ich piorunującym spojrzeniem. Nie poprawił jej się humor, gdy ekipa ekspertów wróciła z niczym. Wciąż nie było żadnej wskazówki, gdzie mogą się podziewać porywacze i Jupiter.

- Czego oni, na litość boską, mogą chcieć od Jupitera? - złościła się ciocia Matylda. - Chłopcy, czy na pewno nie jesteście wplątani w jedno z tych waszych idiotycznych dochodzeń? Nie wtrąciliście się znowu w cudze sprawy?

- Nie, proszę pani - odpowiedział Bob. - Jechaliśmy po prostu na wycieczkę do "Magicznej góry".

- Czy nie możecie się domyślić, dlaczego go porwali? - zapytał wujek Tytus.

- Bardzo byśmy pragnęli to wiedzieć - powiedział Pete.

- Gdybym tylko dorwała tych bandytów! - wykrzyknęła ciocia Matylda.

Mimo woli Bob i Pete wymienili porozumiewawcze uśmiechy. Wpaść w ręce cioci Matyldy - to byłoby nie do pozazdroszczenia! Uśmiech znikł jednak prędko z ich twarzy. Nie zanosilo się na to, by porywacze wpadli rychło w czyjekolwiek ręce.

- Gdybyśmy tylko mieli jakiś punkt zaczepienia - powiedział Bob. - Wiem, że Jupe znajdzie sposób naprowadzenia nas na swój trop.

- Jeśli zdoła - odparł Pete. - Ci porywacze nie wyglądali na w ciemię bitych.

Przed nimi stanął komendant Reynolds.

- Wkrótce się o tym przekonamy. Z helikoptera szeryfa zauważono mercedesa zaparkowanego na starej Drodze Grzechotnika, niecałe trzy mile od miasta!

Do pokoju wszedł szeryf.

- Chodźmy! Teraz ich złapiemy!

Pozostawiony sam w górskiej chacie, Jupiter przycupnął z początku pod drzwiami. Starał się dosłyszeć, o czym mówią porywacze na zewnątrz, i zastanawiał się, kiedy odkryją oni swą pomyłkę.

Słyszał wyraźnie ich głosy, ale chwycił tylko pojedyncze słowa. Chyba mówili o planach podróży i o osobie, której tu nie było. Zrozumiał nagle, że po prostu czekają. Czekają na czyjeś przybycie i na jakieś zdarzenie.

Ale kogo i czego można oczekiwać w tym odległym zakątku? Jupiter na próżno natężył słuch. Serce podeszło mu do gardła. Co będzie, jeśli osoba, która ma przyjść, zna Iana lepiej niż ci dwaj? Musi w jakiś sposób uciec.

Rozejrzał się po chacie. Składała się z pojedynczej izby bez sprzętów. Nie było żadnych szaf ściennych, jedynie drzwi i wąskie, zakratowane okno. Widocznie służyła do przechowywania czegoś wartościowego lub niebezpiecznego. Może trzymano tu dynamit do kamieniołomów albo cenne narzędzia poszukiwaczy ropy naftowej.

Ale teraz w chacie nie było niczego. Niczego, czym mógłby się posłużyć w ucieczce.

Wolno obszedł kamienne ściany, wypatrując odpowiednich miejsc. Nadaremno. Ściany były grube co najmniej na trzydzieści centymetrów, i w dobrym stanie. Jupe nie miał przy sobie niczego, czym mógłby wybić otwór w ścianie, zresztą narobiłoby to zbyt wiele hałasu. Nie mógł wyjść przez ściany, więc zajął się podłogą.

Zrobiono ją z szerokich, nie oheblowanych, niezbyt grubych desek. Były mocne i ciasno przylegały do siebie, ale uginały się pod ciężarem Jupe'a. Znaczyło to, że nie leżą bezpośrednio na ziemi, ale na poprzecznych podporach. Pod chatą była więc wolna przestrzeń.

Jupiter obszedł całą podłogę na kolanach. Pod tylną ścianą znalazł obluzowaną deskę! Naciskając na nią na jednym końcu, zdołał ją unieść na drugim na tyle, żeby wsunąć pod spód rękę i pociągnąć. Raz przydała się na coś jego nadwaga!

Zdjął deskę i pod spodem ukazało się zagłębienie. Zdołał usunąć następną deskę, precyzyjnie się w dół przez otwór i rozplaszczony na brzuchu zaczął się czołgać pod podłogą. Teren się wznosił i tylko pod połową chaty można się było precyzyjnie przesuwać. To wystarczyło.

Ściany chaty stały na kamiennych fundamentach, w których było kilka otworów wentylacyjnych. Były za małe, żeby ktokolwiek mógł przez nie przejść. Nie, nie było wyjścia.

Jupiter wygramolił się wolno spod podłogi. Nie miał żadnej drogi ucieczki.

Samochody policyjne stanęły na Drodze Grzechotnika w pobliżu opuszczonego mercedesa. Policjanci przeszukali go dokładnie.

- Nic - powiedział zgnębiony komendant Reynolds. - Żadnego śladu, który by mógł naprowadzić na nich.

- Ludzie nie znikają tak po prostu - oświadczyła ciocia Matylda.

Bob, Pete i wujek Tytus przeszukiwali trawiaste pobocze drogi, na którym stał porzucony samochód.

- Nie ma nic, co by choć przypominało znak od Jupe'a - powiedział Bob ponuro.

- Nie ma nawet odcisków stóp - zauważył wujek Tytus.

- Po prostu przepadli - komendant Reynolds wpatrywał się w gęste zarośla i majaczące za nimi góry - Bóg wie, jak daleko mogli uprowadzić Jupitera.

- Nie sądzę, komendancie - oznajmił nagle Pete. - Myślę, że daleko nie poszli!

## Rozdział 5

### Ucieczka

- Skąd wiesz, młody człowieku? - zapytał szeryf.

- Czyżbyś znalazł jakiś ślad! - wykrzyknął komendant Reynolds.

Pete stał przy mercedesie ze wzrokiem utkwionym w ziemię. Przykucnął i lekko przesunął po niej ręką.

- Proszę popatrzeć! W poprzek całej drogi jest duża łąta miękkiego piasku. Widać wyraźnie ślady opon mercedesa, ale nie ma żadnych śladów innego samochodu albo też ludzkich stóp! Nie mogli więc stąd odjechać ani nie poszli dalej drogą.

Szeryf kiwnął głową, przyglądając się drodze.

- Droga jest zupełnie sucha i piaszczysta, a nigdzie nie widać żadnych śladów.

- To znaczy, że oni muszą być gdzieś tutaj! - wykrzyknął Bob.

- Tak, Bob - Pete przybrał ton Jupitera. - Wedle moich przypuszczeń, w ogóle nie weszli na drogę, ale skierowali się w stronę gór przez zarośla!

- Czekaj! - odezwał się komendant Reynolds. - Wzdłuż drogi rośnie trawa. Dalej mogli pójść po trawie.

- To możliwe - powiedział szeryf i zwrócił się do swych pomocników. - Billings i Rodriguez, przejdźcie się w obie strony wzdłuż drogi i zobaczcie, jak daleko biegnie i czy nie pojawiają się dalej jakieś siady. A my sprawdzimy tymczasem, czy nie ma jakiegoś przejścia przez zarośla. I niech każdy idzie ostrożnie!

- I rozglądajcie się, czy nie ma gdzieś czegoś w rodzaju znaku zapytania - dodał Bob. - Albo kupki kamieni, albo dziwnie złamanej gałęzi! Kiedy się rozłączamy, pracując nad sprawą, zawsze zostawiamy sobie takie znaki.

Policjanci i ludzie szeryfa rozproszyli się po bliższej górnej stronie drogi. Dwaj pomocnicy szeryfa, którzy poszli po trawiastym obrzeżu, wrócili wkrótce z wiadomością, że nie ciągnie się ono daleko i nie widać na nim śladów stóp. Któryś z poszukujących znalazł małą kupkę kamieni, mogła ona być znakiem od Jupitera. Ale kiedy szeryf obejrzał ją dokładniej, okazało się, że błoto pod kamieniami skleiło je razem. Musiały tak leżeć od dłuższego czasu. Ktoś inny odkrył złamaną gałąź w miejscu, z którego droga prowadziła w głąb zarośli. Nie znaleziono tam jednak ani przejścia przez gąszcze, ani żadnej ścieżki.

- Komendancie! - zawołał nagle jeden z policjantów. - Czy to coś oznacza?

Wskazał jakiś mały, biały skrawek uczepony nisko na krzaku. Bob i Pete podbiegli.

- Wygląda jak... - zaczął Bob.

- Jedna z naszych kart! - dokończył Pete, sięgając po papierek. - To jest nasza karta! Jupe musiał ją tu wsunąć, korzystając z nieuwagi porywaczy!

- Wyrwicie ten krzak! - zakomenderował szeryf.

Ludzie szeryfa i policjanci zaczęli zgniatać i wyrwać zarośla i wkrótce odkryli zamaskowany trakt.

- Tu jest ścieżka i ktoś niedawno nią przeszedł - powiedział Reynolds. - Patrzcie, niskie poszycie jest zdeptane!

Wszyscy spiesznie ruszyli wąskim traktem.

- Tutaj! - zawołał Bob, wskazując krzaczek wyrwany tak, jakby ktoś się o niego potknął. Obok, na małym kamieniu widniał drobny, biały znak zapytania.

- To znak Jupe'a! Miał przy sobie kredę! - wykrzyknął Pete.

- Pospieszmy się! - naglił wujek Tytus. - Jupiter musi być gdzieś niedaleko, bliżej gór...

Urwał z otwartymi ustami, nasłuchując. Wtem wszyscy usłyszeli narastający warkot potężnego silnika. Był coraz głośniejszy i dochodził znad ich głów. Ciocia Matylda uniosła rękę ku niebu.

- To helikopter!

- Czy to jedna z naszych maszyn?! - szeryf przekrzykiwał ryk motoru helikoptera, który unosił się nad nimi na wysokości nie większej niż sto metrów, lecąc w stronę gór.

- Nie! - odkrzyknął komendant Reynolds. - To musi być ich helikopter, szeryfie! Pewnie zamierzają uciec! Leci po porywaczy i Jupitera!

Wszyscy stali z zadartymi głowami, póki helikopter nie znikł za drzewami. Jego warkot zamierał powoli.

- A pan twierdził, szeryfie, iż nie sposób, żeby się wydostali! - wykrzyknęła z wściekłością ciocia Matylda.

- Chodźmy - powiedział szeryf zgnębiony. - Muszą być na końcu tej ścieżki.

- Czy tylko tam zdążymy, nim ten helikopter ich zabierze? - westchnął Pete.

W kanionie dwaj porywacze obserwowali helikopter, lądujący w tumanie kurzu. Włosy i ubranie szarpał im podmuch od wirującego śmigła. Gdy wirnik zwolnił obroty, z przezroczystej kabiny z pleksiglasu wyskoczył pilot. Był w lotniczym kombinezonie, kasku i goglach. Podbiegł do porywaczy.

- W samą porę - powiedział gruby Walt.

- Mamy go! - dodał Fred z uśmiechem.

Pilot nie odpowiedział mu uśmiechem.

- Pełno samochodów policyjnych na drodze, gdzie zostawiliście mercedesa. Zdaje się, że policjanci przedzierają się już przez zarośla!

- Są już na ścieżce? - zmarkotniał Walt. - W jaki sposób znaleźli ją tak szybko?

- To sprawka tego dzieciaka! - wykrzyknął Fred. - Założę się, że ile razy się przewracał, zostawiał jakiś znak!

Walt się roześmiał.

- Dojście tutaj zabierze im co najmniej pół godziny. Do tego czasu będziemy fruwać wysoko z ptakami.

- To nie zabawa, Walt - warknął pilot. - Teraz zabierz chłopca. To jest zbyt ważne dla kraju, żeby popełniać jakieś błędy.

- Zgoda, chodźmy po niego.

- Gdzie jest?

- W chacie. Dobrze zamknięty.

- Pospieszcie się.

W trójkę pobiegli przez kanion. Walt otworzył drzwi chaty.

- W porządku, chłopcze, możesz wyjść.

- Walt! - krzyknął Fred. - Jego tu nie ma! Mroczne wnętrze chaty było puste!

- Daliście mu uciec! - wybuchnął pilot.

- Niemożliwe - powiedział Walt. - Stąd nie ma wyjścia.

Rozglądali się po pustej chacie.

- Może nie ma, ale nie ma też gdzie się tu schować, a on zniknął! - irytował się Walt.

- Jakoś się wydostał! - krzyczał pilot.

- W porządku, bez paniki - uspokajał Walt. - Może się wydostał z chaty, ale wciąż musi być w kanionie. Jediną drogą wyjścia jest ta ścieżka, a mieliśmy ją cały czas na widoku. Nie mógł przejść koło nas, Fred, więc musi być gdzieś w kanionie, gdzieś za chatą. Łapmy go!

Trzej porywacze rozbiegli się po kanionie.

Policjanci, chłopcy, ciocia Matylda i wuj Tytus wpadli zdyszani do długiego, wąskiego kanionu. Ponad dwadzieścia minut minęło od chwili, gdy helikopter przeleciał nad ich głowami. Teraz z lękiem rozglądali się po kanionie.

- Jest tutaj! - wykrzyknął Bob.



Helikopter z wolno poruszającym się śmigłem stał na końcu kanionu. W tym momencie wskoczył do niego pilot i śmigło zawirowało na pełnych obrotach.

- Zaraz odleczę! - krzyknął Pete. - Biegiem!

Gdy ruszyli pędem ku głośno warkoczącej maszynie, zza małej kamiennej chatki ukazało się dwóch mężczyzn. Każdy z nich taszczył torbę. Biegli do helikoptera.

- Mają nad nami przewagę! - krzyknął komendant Reynolds.

- Stać! Policja! - wrzasnął szeryf.

Ale porywacze dopadli już helikoptera i wspięli się na łeb, na szyję do przezroczystej kabiny. Helikopter uniósł się w górę z rykiem silnika i w tumanie kurzu, na oczach bezsilnych ścigających. Zawisł na chwilę w powietrzu, po czym pomknął w górę i w dal tuż nad krawędzią kanionu. Znikł wreszcie gdzieś na południu.

Na ziemi ścigający wpatrywali się osłupiali w niebo.

- Ooo... odlecieli - powiedział wujek Tytus z niedowierzaniem.

- Znowu daliście im uciec! - wybuchnęła ciocia Matylda. - Mężczyźni. Jak teraz zamierzacie uratować mego siostrzeńca?

- Wracamy do samochodów! - krzyknął szeryf. - Nadamy przez radio wiadomość. Helikopter leci na południe. Ludzie szeryfa ruszyli biegiem w stronę ścieżki.

- Zaczekajcie! - zawołał Bob. - Nie widziałem Jupe'a! Tylko dwóch porywaczy i pilota!

- Może ich wystraszyliśmy! - wykrzyknął Pete. - Może zostawili Jupe'a w chacie!

Wszyscy z komendantem Reynoldsem na czele pobiegli do chaty. Komendant szarpnął drzwi i wpadli do środka. Chata była pusta.

- Nie ma go tutaj - jęknął Pete.

- Musiał być w helikopterze. Przyszliśmy za późno - powiedział Bob z rozpaczą.

- Nie, Bob - padły skądś słowa. - Prawdę mówiąc, przyszliście w samą porę.

W głębi chaty uniosły się deski i spod podłogi wydobył się uśmiechnięty Jupiter!

- Jupiter! - wykrzyknęli wszyscy równocześnie.

- Czyżbyście oczekiwali kogoś innego?

## Rozdział 6

### Jupiter znajduje ślad

- ... tak więc z chaty nie było wyjścia - Jupiter udzielał wywiadu reporterom na posterunku policji - uświadomiłem sobie jednak, że skoro nie było w niej również miejsca na kryjówkę, stworzę wrażenie, że uciekłem, chowając się pod podłogą. I udało się! Oczywiście, w końcu by się domyślili, gdzie jestem, ale przybyła policja i musieli uciekać.

- Wymyśliłeś to niesłychanie sprytnie jak na dziecko - powiedział jeden z reporterów.

- Jupiter Jones nie jest przeciętnym dzieciakiem - zauważył komendant Reynolds. - Wszyscy trzej detektywi są osobami nieprzeciętnymi. Są autentycznymi detektywami i często nam pomagają.

- To jest wspaniała historia, komendancie - reporter skinął na fotografa. - Pstryknij kilka zdjęć, Joe. Zrobimy wieczorne wydanie.

Udzielając wywiadu, Jupiter przeglądał jednocześnie policyjną księgę zdjęć osób, które aresztowano w Rocky Beach. Podał też rysopisy porywaczy rysownikowi policji, który robił według nich portrety pamięciowe.

- Czy porywacze powiedzieli, o co im chodzi? - zapytał inny reporter.

- To jest sprawa policji - odpowiedział komendant Reynolds. - Mogę pana tylko zapewnić, że pan Tytus Jones nie jest bogatym człowiekiem i ani on, ani jego bratanek nie znają przyczyn uprowadzenia. Spodziewamy się niebawem schwytać porywaczy i wszystkiego się dowiedzieć.

Fotoreporterzy z ociąganiem zakończyli swą pracę i wyszli. Jupiter nie znalazł fotografii przestępców w księdze i nie był usatysfakcjonowany szkicami rysownika.

- Te portrety nie bardzo przypominają porywaczy - zgodził się z nim Bob.

- Czy dowiedział się pan czegoś nowego, komendancie? - dopytywał się Pete. - Mówił pan, że spodziewa się ich szybko złapać.

- Niestety, nie spodziewam się - wyznał komendant. - To było tylko oświadczenie dla prasy. W sprawach porwania nie wolno ujawniać środkom przekazu danych o działaniach policji.

- Czy dlatego nie powiedział im pan, że zgodnie z moim przekonaniem, to nie było zwykłe porwanie? - zapytał Jupiter.

- Tak, Jupiterze. Lepiej, żeby porywacze myśleli, że nic nie wiemy.

- Rozumiem - powiedział Jupiter. - Z niewiadomego powodu wzięli mnie za syna

jakiejs osobistości w ich kraju i myślę, że chodzi tu o odwet, o jakieś kwestie polityczne, może nawet wojnę. Potrzebowali zakładnika!

- Być może, ale teraz jesteś poza niebezpieczeństwem, a resztą my się zajmiemy - powiedział komendant. - Tropimy helikopter i roześlemy portrety porywaczy. Chciałbym, żebyś przez parę dni był ostrożny. Tymczasem złapiemy tych przestępców, jestem pewien. Twoi wujostwo już odjechali, odstawimy więc was do domów samochodem policyjnym.

Gdy czekali przed komisariatem na samochód, Jupiter spojrzał na zegarek.

- Robi się późno, ale może ktoś nas potem podwiezie składową ciężarówką.

- Dokąd, Jupe? - zapytał Pete i zaraz przełknął ślinę. - Nie, nawet mi nie mów. Nie chcę o tym słyszeć.

- Jupe! - zawołał Bob. - Patrz, Worthington!

Rolls-royce stał przy krawężniku, za czterema innymi samochodami, a przy nim wysoki szofer. Chłopcy podbiegli do niego.

- Pan wciąż tutaj, Worthington! - wykrzyknął Jupiter.

- Nie zakończyłem jeszcze dyżuru, paniczku Jones, i pragnąłem się upewnić, że jest pan bezpieczny i zdrow - szofer zamrugł oczami.

- Poza tym przyszło mi na myśl, że do piątej została jeszcze godzina i może potrzebny wam będzie środek lokomocji.

- Ależ tak! - Jupiter podbiegł do samochodu policyjnego, który właśnie nadjeżdżał, i wyjaśnił, że nie trzeba już ich podwozić. Wrócił rozpromieniony.

- Wsiadajcie, chłopaki!

Usadowili się w lśniącym aucie, a Worthington zapytał z powagą:

- Dokąd, sir?

- Oczywiście z powrotem do kanionu koło Drogi Grzechotnika!

- Och, nie! - jęknął Pete. - Komendant powiedział, żebyśmy byli ostrożni.

- Będziemy - zapewnił go Jupiter z uśmiechem. - W drogę, Worthingtonie!

Słońce stało wciąż wysoko, gdy dojechali do ukrytej ścieżki przy Drodze Grzechotnika. Worthington zamknął rolls-royce'a i po dwudziestu pięciu minutach marszu dotarli do kanionu.

- Byłem dość długo w chacie, nie jestem więc w stanie rozejrzeć się tam świeżym okiem. Myślę, że Worthington i Pete powinni szukać śladów w chacie i wokół niej, a my z Bobem przeszukamy miejsce, gdzie wylądował helikopter - zdecydował Jupe.

- Czego właściwie szukamy, Jupe? - zapytał Bob.

- Oprócz guza - mruknął Pete.

- Jakiejś poszlaki, Bob - odpowiedział Jupiter, ignorując Pete'a. - Czegoś, co by nam powiedziało, kim są porywacze, skąd pochodzą lub o co naprawdę im chodzi, albo gdzie mogą teraz przebywać.

Słońce powoli chowało się za góry, kładąc w wąskim kanionie długie cienie. Worthington i Pete przeszukali bezpośrednio otoczenie chaty. Bez rezultatu. Nie lepiej się powiodło Jupiterowi i Bobowi. Wtem Jupiter przypomniał sobie, że porywacze szukali go za chatą. Rozstawili się więc wszyscy czterej i przeczesali zaplecze chaty aż po skraj kanionu. Byli już mocno zniechęceni, gdy nagle Jupiter się pochylił, podniósł coś z ziemi i zaczął uważnie oglądać. Pozostali podbiegli do niego.

- Co to jest? - zapytał Bob.

- Nie jestem pewny. Sam zobacz.

Wyciągnął rękę, na której leżał maleńki, połyskujący w ostatnich promieniach słońca przedmiot. Był to miniaturowy kiel słońca, zrobiony przypuszczalnie z prawdziwej kości słoniowej i osadzony w złotej siatce, zawieszony na złotym kółeczku.

- Może to kolczyk? - podsunął Pete.

- Wisiołek do zegarka albo amulet - zgadywał Bob. - Chyba jakaś maskotka mająca przynosić szczęście.

- W każdym razie wygląda to na ręczną robotę - powiedział Jupiter. - Myślę, że to nietutejsze rękodzieło, nie jest to przedmiot, który spodziewałbym się znaleźć w tym kanionie.

- Myślisz, że porywacze to zgubili? - zapytał Pete.

Worthington wziął od Jupitera mały kiel i przez chwilę oglądał go uważnie.

- Teraz sobie uświadamiam, chłopcy, że ci porywacze mówili z akcentem, który brzmiał jak akcent mieszkańców dawnych kolonii brytyjskich w Afryce. A ta mała ozdoba przypomina miejscową biżuterię pewnych krajów afrykańskich. Zaryzykowałbym więc zdanie, że istotnie porywacze ją zgubili.

Jupiter był podekscytowany.

- A więc możemy odkryć, skąd pochodzą!

- Hmm... Jupe... - zaniepokoił się Pete. - Myślałem, że nie badamy tej sprawy.

- Z porywaczami nie ma żartów - ostrzegł Bob.

- Nie, porywaczy musi ścigać policja - przyznał Jupiter. - Ale wiem, że pewien chłopiec jest w niebezpieczeństwie, i jestem przekonany, że jest on gdzieś w Rocky Beach. Naszą sprawą będzie odszukanie go i udzielenie mu pomocy.

- Wiedziałem, że znajdziesz sposób, żeby się w to wplątać - powiedział Pete z

westchnieniem.

- Ten chłopiec może nawet nie uświadamiać sobie, co mu grozi - odparł Jupiter stanowczo i zwrócił się do Worthingtona. - Teraz może nas pan zawieźć do domu i odstawić samochód do agencji.

- Doskonale, paniczu Jones.

Pete ze zmarszczonym czołem szedł ścieżką, wiodącą do Drogi Grzechotnika.

- Jak my znajdziemy tego dzieciaka?

- Jest wiele sposobów, Pete - odparł Jupiter z przekonaniem. - Nim zaczniemy go szukać, musimy więcej o nim wiedzieć. Dziś wieczór przeprowadzę potrzebne badania, a jutro spotkamy się w Kwaterze Głównej, aby opracować strategię!

## Rozdział 7

### Przyjaciele czy wrogowie?

- Peter! Tak się nie je - powiedziała pani Crenshaw przy śniadaniu.

- Przepraszam, mam. Trochę się spieszę.

Pan Crenshaw spojrział znad gazety.

- Mam nadzieję, że to nie ma nic wspólnego z porwaniem twego przyjaciela, Jupitera - powiedział poważnie. - To nie są sprawy dla was.

- Wiemy, tato. Będziemy się trzymać z dala od porywaczy.

Pani Crenshaw uśmiechnęła się.

- Trudno sobie wyobrazić, żeby można było Jupitera Jonesa z kimś pomylić. Nie pomyślałabym, że istnieje ktoś taki podobny do niego.

- Ale Jupe im nic nie powiedział, mam. W ogóle nie otworzył ust.

- Och! - roześmiała się pani Crenshaw. - To u Jupitera coś całkiem nowego, prawda?

Pete uśmiechnął się szeroko w odpowiedzi. Skończył śniadanie i wybiegł po swój rower. Gdy jechał do składu złomu, było wciąż chłodno. Zatrzymał się za tylnym płotem składu o pięćdziesiąt metrów od narożnika. Cały płot był pokryty malowidłami lokalnych artystów i właśnie w tym miejscu wymalowana była dramatyczna scena pożaru San Francisco w 1906 roku. Pete usunął w desce sęk, który był okiem pieska na obrazie i wetknął palec w otwór. Sięgnął do haczyka, zwolnił go i odchyliły się trzy deski płotu. Tym sposobem wszedł do składu przez Czerwoną Furtkę Korsarza.

Poszedł w głąb, między stertami rupieci, i zastał Jupitera przy pracy w jego pracowni pod gołym niebem. Na warsztacie rozłożone były części trzech małych aparatów.

- Nasze sygnalizatory alarmowe wymagają wielu przeróbek - powiedział Jupe. - Póki Bob nie przyjdzie, możesz mi pomóc.

- Co z twoimi badaniami i planem znalezienia tego dzieciaka? - Pete pochylił się nad rozrzuconymi częściami sygnalizatorów, które Jupiter sam przed laty zmajstrował. - Nic nie znalazłeś?

- Tego bym nie powiedział. Przeciwnie, znalazłem bardzo dużo. Nie sądzę, by odszukanie Iana Carewa przedstawiało trudności.

- Opowiadaj!

- Poczekamy na Boba. Nie ma sensu, żebym powtarzał wszystko dwa razy.

Pete był wściekły, ale Jupiter uśmiechał się tylko i pracował dalej nad

sygnalizatorami. Nim przyszedł Bob, obaj oczyścili i dopasowali części i wszystko było gotowe do złożenia. Bob wpadł do pracowni przez Zieloną Furtkę Pierwszą, czyli dwie zielone, obluzowane deski we frontowym płocie.

- Przepraszam - wysapał ledwie łapiąc oddech po szybkiej jeździe rowerem - mama zagoniła mnie do pracy koło domu. Co mamy w planie, Jupe? Masz jakieś nowe wieści od komendanta Reynoldsa?

- Tak. Telefonowałem do komendanta wcześniej rano. Znaleźli helikopter porzucony na polu w pobliżu Ventury.

- To znaczy, że wprowadzili nas w błąd! Polecieli na południe, a potem skręcili na północ.

Jupiter skinął głową.

- Logiczne posunięcie, skoro wiedzieli, że są ścigani przez policję. Komendant Reynolds mówił, że niczego nie znaleźli w helikopterze i że został on wynajęty i opłacony listownie. Kiedy pilot przybył na lotnisko, nosił już kombinezon, kask i gogle, tak więc nikt nie potrafił go opisać. Oczywiście miał fałszywe papiery i podał zmyślone nazwisko i adres.

- Dużo się nie dowiedzieli - mruknął Pete.

- A co z porywaczami? - zapytał Bob.

- Jak dotąd, nikt nie zdołał ich nawet zidentyfikować, nie mówiąc już o aresztowaniu. Odciski palców, znalezione w helikopterze i mercedesie, nie figurują w kartotekach FBI w Waszyngtonie. Mercedes, jak się okazało, też był wynajęty.

- Jednym słowem, nic nie wiemy - powiedział Pete.

- Niezupełnie, Pete - uśmiechnął się Jupiter. - Jak mówiłem, przeprowadziłem wczoraj pewne badania i myślę, że możemy...

Nim zdążył powiedzieć co, za ich plecami rozległ się gniewny głos.

- A więc tutaj jesteś, Jupiterze! - ciocia Matyllda, podparta pod boki, patrzyła groźnie na Jupe'a. - Dwa dni temu obiecałeś skończyć porządki w magazynie, zgadza się? Pozwoliłam ci wyjść wczoraj, choć nie powinnam, a ty przyrzekłeś solennie wziąć się do pracy zaraz następnego dnia, zgadza się?

- Przepraszam, ciociu Matylldo - powiedział Jupiter pokornie.

- No myślę! Pewnie wszystko dlatego, że to ostatni tydzień wakacji. Wciąż gdzieś biegasz, lenisz się i jesz za trzech. Lodówka wygląda, jakby się myszy do niej dobrały.

- Ja... ja nie ruszałem... - wyjąkał Jupiter.

- Nie opowiadaj! Popatrz na siebie. Jesteś coraz grubszy. Trochę pracy dobrze ci zrobi.

- Ale - zaczęli protestować Pete i Bob - my mamy coś...

- Co by to nie było, może zaczekać. A wy dwaj możecie uporządkować tę pracownię, póki Jupiter nie skończy tego, co zaczął. A teraz do roboty!

Jupiter westchnął.

- Złóżcie te sygnały, chłopaki. Uwinę się szybko.

- Pod warunkiem, że nie będzie przerywał pracy, żeby coś przegryźć - dodała ciocia Matyllda sarkastycznie.

Bob i Pete skinęli smętnie głowami i Jupiter pomaszerował w stronę biura, a ciocia Matyllda za nim, niczym kapral na musztrze. Bob i Pete wzięli się do składania sygnalizatorów, umierając z ciekawości, co Jupiter miał im do powiedzenia. Pete był dość niezdamny w tej zmuudnej, precyzyjnej robocie, ale z pomocą zręczniejszego Boba złożyli w końcu aparaty. Potem uporządkowali pracownię.

Ponieważ Jupiter wciąż nie wracał, zdecydowali się czekać na niego w Kwaterze Głównej. Zaczęli się wczołgiwać do Tunelu Drugiego.

- Czekajcie!

Jupiter wbiegł do pracowni, czerwony i spocony. Bob i Pete wycofali się z tunelu.

- No i co się działo wczoraj wieczór? - zapytał żywo Pete.

- Co odkryłeś? - wtórował mu Bob.

- A więc sprawdziłem...

- JUPITER!

To ciocia Matyllda znowu wołała go z biura.

- Och, nie - jęknął Pete.

- Schowajmy się! - zawołał Bob.

- Niestety, to nic nie da - powiedział Jupiter.

- Jupe ma rację - przyznał Pete z rezygnacją. - Nie można się ukryć przed ciocią Matylldą. Ona jest jak Scotland Yard i FBI razem wzięte. Lepiej się poddajmy.

Opuścili pracownię i poszli między stertami rupieci w stronę biura. Na widok stojącej przed biurem cioci Matylldy, Bob wykrzyknął:

- Jupe! Są tam z nią jacyś dwaj panowie!

- Chy... chyba nie porywacze? - wyjąkał Pete.

- Nie, jeden z nich jest Murzynem.

- Murzyn?! - ożywił się Jupiter. - Oczywiście, to logiczne. Chodźmy szybko.

- Logiczne? - powtórzył Pete. - Co jest logiczne?

Ale Jupiter już ich wyprzedził. Dogonili go, gdy był już przed biurem. Ciocia Matyllda



spoglądała na chłopców podejrzliwie.

- Ci panowie chcą z wami trzema rozmawiać. Chodzi o wynajęcie was do czegoś tam. Mam nadzieję, że to nie jest żaden wybieg, który specjalnie przygotowaliście, żeby się wymigać od pracy przez resztę tygodnia!

- Nie, proszę pani - powiedział jeden z przybyszów. Był wysoki, jasnowłosy, a jego opalenizna miała ten sam, co u porywaczy, głęboko utrwalony charakter. - Chcemy, by chłopcy przeprowadzili dla nas małe dochodzenie.

Trzej Detektywi utkwili wzrok w wysokim blondynie - mówił z tym samym, co porywacze, brytyjskim akcentem.

- Tylko małe wchodzi w grę, bo w przyszłym tygodniu zaczynają szkołę, Bogu dzięki - oświadczyła ciocia Matylda gromko i wyszła do biura, zostawiając chłopców z nieznanymi. Jupiter rozejrzał się szybko i poprowadził gości do swej pracowni. Gdy tylko się tam znaleźli, zwrócił się do nich żywo:

- Chodzi o porwanie, prawda? Kim jesteście, panowie?

- Jestem Gordon MacKenzie - odparł blondyn - a to jest Adam Nolula. Tak, chodzi o porwanie.

- Potrzebujemy pomocy dobrych, miejscowych detektywów - powiedział Adam Nolula. - Możemy ci powiedzieć, dlaczego zostałeś porwany i o co naprawdę chodzi porywaczom.

- Pomożemy panom z przyjemnością. Wiemy, dlaczego mnie porwano i o co chodzi porywaczom - odparł Jupiter.

- Wiemy? - zdziwił się Pete.

- Tak, Pete, wiemy - oświadczył Jupiter z zadowoloną miną. - Zostałem porwany, ponieważ jestem bardzo podobny do Iana Carewa. Ian jest synem sir Rogera Carewa, premiera małej brytyjskiej kolonii w południowej Afryce, o nazwie Nanda. W przyszłym roku Nanda ma uzyskać niepodległość i sir Roger przygotowuje grunt dla przejęcia władzy przez czarną większość i umiarkowanych białych, urodzonych w Nandzie. Spotyka się jednak z opozycją ze strony podziemnego ugrupowania Przymierze Czarnej Nandy, które zmierza do wygnania z kraju wszystkich białych, oraz ze strony Partii Narodowej białych ekstremistów, którzy chcą rządów wyłącznie białych i utrzymania czarnej większości niemal na poziomie niewolnictwa.

- Rany, Jupe, skąd ty to wszystko wiesz? - zdumiał się Bob.

- Co to w ogóle ma wspólnego z porwaniem? - pytał Pete.

- To jest przyczyna porwania, Pete. Porywacze to ekstremiści z Partii Narodowej.

Zaplanowali porwanie Iana Carewa, żeby, mając go jako zakładnika, wyrzucić presję na sir Rogera i zmusić go do utrzymania Nandy pod rządami białych. Pan MacKenzie i pan Nolula są członkami umiarkowanej partii sir Rogera i przybyli tu, żeby uratować Iana.

W pracowni zapadła cisza.

- Wiesz bardzo dużo - odezwał się Adam Nolula. - Myślę, że za dużo!

W jego ręce pojawił się ogromny pistolet!

## Rozdział 8

### Siedziba Djangi

Nolula patrzył na Jupitera podejrzliwie zwężonymi oczami i mierzył pistoletem wprost w niego.

- Jest tylko jeden sposób, żeby wiedzieć to wszystko - powiedział groźnie. - Współpracujesz z porywaczami! Jesteś szpiegiem!

- Spokojnie, Adam - głos MacKenziego był łagodny, ale spojrzenie równie mordercze jak Noluli. - Co masz do powiedzenia, młody człowieku? Skąd tyle o nas wiesz?

- To naprawdę jest zupełnie proste - odparł Jupiter z godnością. - Nie jestem ani szpiegiem, ani też idiotą. Gdybym współpracował z porywaczami, nie byłbym na tyle głupi, żeby się ujawnić.

Nolula obserwował go bacznie.

- Mów dalej, chłopcze.

- Wyjaśnij, dlaczego to jest takie proste - dodał MacKenzie.

- Z chęcią. Słuchałem, kiedy porywacze mnie więzili. Mieli dziwny akcent i było oczywiste, że wzięli mnie za chłopca imieniem Ian, będącego synem ważnej osobistości imieniem sir Roger. Po ucieczce porywacze wróciliśmy na miejsce, gdzie byłem przetrzymywany. Oto, co znaleźliśmy - Jupiter pokazał malutki, oprawiony w złoto kiel. - Nasz szofer Worthington był pewny, że ta ozdoba pochodzi z Afryki. Był również przekonany, że akcent, z jakim mówili porywacze, mają mieszkańcy brytyjskich kolonii w Afryce.

MacKenzie wziął od Juve'a mały kiel i przyjrzał mu się bacznie. Potem podał go Noluli, a ten skinął głową.

- Mamy w Rocky Beach doskonałą bibliotekę - kontynuował Jupiter. - Nie trzeba mi było wiele czasu na to, żeby się dowiedzieć, że premierem Nandy jest sir Roger Carew i że prowadzi on obecnie walkę o niepodległość kraju. Porywacze byli niewątpliwie wrogami sir Rogera, skoro planowali posłużenie się jego synem jako bronią przeciw niemu. Muszą więc być białymi ekstremistami, którzy są przeciwni planom sir Rogera dotyczącym przyszłości Nandy. Ponieważ obaj panowie mówicie z tym samym akcentem, a każdy z was reprezentuje odmienną rasę, drogą prostej dedukcji ustaliłem, że jesteście stronnikami sir Rogera.

- Phi, rzeczywiście proste! - wykrzyknął Pete.

- Po tych wyjaśnieniach - uśmiechnął się MacKenzie. Spojrzał na Nolulę. - Czy to cię

zadawała, Adamie?

- Tak - Nolula schował pistolet do kabury pod pachą. - Chłopcy robią wrażenie szczerych.

- A także dobrych detektywów - dodał MacKenzie. - Co, jak sądzę, Jones chciał nam zademonstrować, prawda?

Jupiter zarumienił się i uśmiechnął się szeroko.

- Sądziłem, że nie zaszkodzi mała próbka naszych umiejętności.

- Słusznie - powiedział MacKenzie. - Dopiero wczoraj przyjechaliśmy do Rocky Beach i przeczytaliśmy o twoim porwaniu w wieczornym wydaniu gazety. Kiedy zobaczyliśmy twoje zdjęcie, wiedzieliśmy od razu, co zaszło. W gazecie napomknięto o Trzech Detektywach, w związku z twoją osobą. Zrobiliśmy więc mały wywiad i okazało się, że istotnie jesteście detektywami. Ale twoja demonstracja jest bardziej przekonująca.

Jupiter zaprezentował z dumą kartę firmową detektywów. Przybysze odczytali ją uważnie:

**TRZEJ DETEKTYWI**

**Badamy wszystko**

**???**

**Pierwszy Detektyw . . . . . Jupiter Jones**

**Drugi Detektyw . . . . . Pete Crenshaw**

**Dokumentacja i analizy . . . . . Bob Andrews**

- Bardzo profesjonalne - stwierdził MacKenzie.

- Więc wynajmiecie nas! - zawołał Pete.

MacKenzie spojrzał na Nolulę.

- Co sądzisz, Adamie? Czy ci pomysłowi młodzi ludzie są tymi, których nam trzeba?

- Myślę, że tak - odpowiedział Nolula z uśmiechem.

Bob i Pete promieniali, ale Jupiter pozostawał zamyślony.

- Proszę mi powiedzieć, jak dalece przypominam Iana? - zapytał MacKenziego.

- Mów do mnie Mac, a ja będę ci mówił Jupiter, zgoda? Jesteś sobowtórem Iana, podobieństwo jest niesamowite. Dla kogoś, kto zna dobrze Iana, nie aż doskonałe, ale zdumiewająco bliskie. Poza tym Ian przebywa w Stanach od dwóch lat, a dziecko zmienia się bardzo przez taki okres. Tak więc porywacze mogli was łatwo pomylić. Oczywiście Ian mówi z nandańskim akcentem, jestem więc trochę zdziwiony...

- Domyśliłem się, Mac - wpadł mu w słowa Jupiter. - Nie odezwałem się słowem.

Obawiałem się, że gdyby porywacze odkryli swoją pomyłkę, znalazłbym się w jeszcze większym niebezpieczeństwie.

- Niewątpliwie - przytaknął Nolula ponuro. - Nie wiemy, kim są, nie rozpoznaliśmy ich po imionach i opisie, ale wszyscy biali ekstremiści są bardzo niebezpieczni.

- Myślimy, że to oni zgubili ten mały kiel. Czy mówi on coś panom? - zapytał Bob.

- Nie, ale z pewnością pochodzi z Nandy - odparł Nolula.

- Nie ma więc wątpliwości, że porywacze są nandyjskimi ekstremistami? - upewnił się Jupiter.

- Żadnych - potwierdził MacKenzie. - Sir Roger wysłał Iana do szkoły w Los Angeles właśnie po to, żeby uniknąć tego rodzaju szantażu. Ekstremiści dowiedzieli się jakoś o miejscu pobytu chłopca i tydzień temu dokonali próby porwania go w Los Angeles, Ian im uciekł, ale gdzieś się schował i przepadł. Sir Roger odchodził od zmysłów z niepokoju, dopóki nie otrzymał wiadomości od Iana, przesłanej przez misję handlową Nandy w Los Angeles.

- Jaka to wiadomość? - zapytał Jupiter.

- Co to jest misja handlowa? - chciał wiedzieć Pete.

- Jest to oficjalna placówka, która zabiega o zwiększenie wymiany handlowej między dwoma krajami - wyjaśnił Nolula.

- A wiadomość była krótka i zagadkowa - podjął MacKenzie. - Nie ma dla nas sensu poza tym, że wspomniane jest Rocky Beach. Ian musiał się obawiać przejścia wiadomości przez naszych wrogów, co istotnie zaszło, skoro tutaj go szukali.

- Chcecie, żebyśmy spróbowali rozszyfrować wiadomość! - wykrzyknął Pete.

- Proszę ją nam pokazać - poprosił Bob.

- Trzymamy ją w sejfie hotelowym - odparł Nolula. - Zabierzemy was zaraz do naszego hotelu.

Poszli razem do czekającego przed składem czarnego cadillaca. Gdy wsiadali, Pete zatrzymał się nagle.

- Jupe! - zawołał nagle. - Spójrz na parcelę!

Wskazywał pusty plac po drugiej stronie ulicy, przylegający do domu cioci Matyldy i wujka Tytusa.

- Ktoś tam stał przy tej kępie krzaków z frontu. Jestem tego pewien!

- Zobaczymy - powiedział MacKenzie.

Zbliżyli się ostrożnie do parceli. Od ulicy osłaniały ją szczelnie krzewy, ale za nimi była zupełnie naga. Nikogo tam nie było. Pete zaczął przeszukiwać teren wokół krzaków,

przy których kogoś dostrzegł, i wskazał na ziemię. Leżał tam wciąż żarzący się niedopałek papierosa.

- A więc ktoś tu był!

- Być może tylko jakiś robotnik zrobił sobie małą przerwę na papierosa - powiedział Jupiter niepewnie.

- Możliwe - przytaknął MacKenzie.

- Po co by ktoś szpiegował skład złomu? - dodał Jupiter, jakby starał się przekonać samego siebie. - Jeśli porywacze są wciąż w tym rejonie, musieli czytać prasę i dowiedzieć się o swojej pomyłce.

Wsiedli do cadillaca. Nolula prowadził. MacKenzie odwrócił się do chłopców.

- Musimy znaleźć Iana, i to szybko. Być może nie obserwowano was z tej pustej parceli, ale obawiam się, że porywacze są wciąż w Rocky Beach. Nie dadzą łatwo za wygraną. Chodzi o zbyt wysoką stawkę, by policja mogła ich odstraszyć.

- Ludzie zrobią niemal wszystko dla sprawy, w którą wierzą - przytaknął Jupiter.

- Tak, Jupiterze, i to nie tylko ekstremiści polityczni. Sir Roger kocha Iana, ale kraj stawia na pierwszym miejscu. Jeśli ekstremiści ujmą Iana, sir Roger nie pójdzie na ustępstwa, nawet za cenę życia syna.

Chłopcy zaniemówili na te słowa. Niebawem samochód wjechał na podjazd nadmorskiego hotelu "Miramar". MacKenzie wziął chłopców na górę do pokoju, a Nolula poszedł do hotelowego sejfu po wiadomość Iana.

Po przyjściu Noluli MacKenzie zamknął drzwi na klucz i wszyscy skupili się wokół Jupitera, który odczytał wiadomość:

*Zaatakowany w LA. Przerażony. Rocky Beach. Siedziba Djangi.*

Chłopcy patrzyli na siebie w konsternacji.

- Ta wiadomość niczego nie mówi! - wykrzyknął Pete.

- Nic też nie wydaje się szyfrem - dodał Bob.

- Nic - przyznał Jupiter, wpatrując się w tajemniczą wiadomość. - Może z wyjątkiem ostatnich słów: "siedziba Djangi". Co to znaczy?

- Mielśmy nadzieję, że wy nam to wyjaśnicie - powiedział MacKenzie. - Szukaliśmy we wszystkich przewodnikach po Rocky Beach. Nigdzie nie ma wzmianki o Djangie. Sądziliśmy, że to coś bardzo lokalnego, o czym wiedzą tylko miejscowi.

- Nigdy o czymś takim nie słyszałem - stwierdził Pete.

- Ja też nie - powiedział Bob. Jupiter potrząsnął tylko głową.

- To beznadziejne, Gordon - Nolula zwiesił głowę. - Chłopcy nie mogą nam pomóc.

## Rozdział 9

### Jupiter obstaje przy swoim

- Nic nigdy nie jest beznadziejne - stwierdził Jupiter z przekonaniem.

- Czy masz jakiś pomysł, Jupiterze? - podchwycił szybko MacKenzie.

- Jaki, Jupe? - zapytał Bob.

Jupiter rozważał krótką, zagadkową wiadomość.

- Ian był przerażony próbą porwania go w Los Angeles. Uciekł i udał się tutaj.

Dlaczego na miejsce ukrycia wybrał Rocky Beach?

- Był w Rocky Beach na wakacjach - powiedział Nolula. - Sir Roger odwiedził go w zeszłym roku i spędzili tutaj tydzień.

- Znał więc Rocky Beach - powiedział Jupe z naciskiem.

- Pewnie, że znał, skoro tu był. Co w tym nadzwyczajnego? - zapytał Pete.

- To, że miał prawdopodobnie na celu konkretne miejsce ukrycia, kiedy uciekał do Rocky Beach i chciał je podać sir Rogerowi. Zrobił to, używając słów "siedziba Djangi".

- Ale sir Roger nie miał pojęcia, o co chodzi - powiedział Nolula.

- Tym niemniej - upierał się Jupe - to musi być wskazówka co do miejsca jego ukrycia. Był przerażony i uciekał. Nie marnowałby słów na bezsensowną wiadomość. Musi być solidny powód użycia określenia "siedziba Djangi". A skoro nic takiego nie ma w Rocky Beach ani o niczym takim nie słyszeliśmy, to określenie nie jest nazwą bezpośrednią! Ma wskazać trop, po którym można trafić na miejsce pobytu Iana.

- A ekstremiści nic nie mogliby zrozumieć, gdyby im wiadomość wpadła w ręce - wykrzyknął Pete.

- Właśnie - przytaknął Jupiter. - Mac, to słowo jest wyraźnie afrykańskie. Co znaczy w Nandzie?

- W tym cały kłopot - odparł MacKenzie ze smutkiem. - Nie ma znaczenia, które by nam mogło pomóc. Djanga to imię ostatniego wielkiego wodza szczepu, do którego należy większość tubylczej ludności. Adam pochodzi z tego szczepu.

- Djanga był ostatnim wodzem, który walczył z europejskimi najeźdźcami i osadnikami w latach osiemdziesiątych - wyjaśnił Nolula. - Jego imię znaczy mniej więcej "chmura burzowa" lub "szum deszczu", w zależności od kontekstu, w jakim zostało użyte.

- To wszystko? - Jupiter był rozczarowany. - No dobrze. Czy Djanga miał jakąś specjalną siedzibę lub może wiąże się z nim jakieś szczególne wydarzenie czy osoba?



- Setki, Jupiterze - odpowiedział MacKenzie. - Djanga jest legendarną postacią Nandy. Łączy się z nim nieskończona ilość mitów i opowiadań, bitew i ludzi. Przestudiowanie wszystkiego zajęłoby tygodnie.

- Na to nie możemy sobie pozwolić - wtrącił Nolula. - Czas jest sprawą życia i śmierci. Nie mamy nawet dnia do stracenia.

- Dość beznadziejna sprawa - westchnął Bob.

- Musi być jakiś sposób! - wybuchnął Jupiter. - Ian był w desperackiej sytuacji, użył więc skojarzenia, na które łatwo wpaść. Czegoś, o czym wiedział, że z pewnością od razu się nasunie. Mac, czy możesz nam podać najważniejsze miejsca, wydarzenia i fakty związane z Djanga? Rzeczy znane dla większości Nandyjczyków.

MacKenzie zastanowił się.

- Na przykład wielkie zwycięstwo Djangi nad armią brytyjską w Imbula albo jego ostateczna klęska w Zingwala. Generałem, którego pokonał, był lord Fernwood, klęski zaś doznał z ręki generała Anolleya.

Bob wyjął z kieszeni notes i wziął się do zapisywania.

- Siedzibą Djangi była Ulaga, a po zwycięstwie Brytyjczycy wzięli go w Forcie George - dodał Nolula.

- Uciekł stamtąd i usiłował podjąć walkę - kontynuował MacKenzie. - Wówczas miał swą siedzibę w odległej dolinie Kargi.

- Zginął w małej potyczce w pobliżu miasteczka o nazwie Fort Smith - dokończył Nolula.

Jupiter skinął głową.

- Teraz pozostaje nam wziąć te wszystkie nazwy i... Przerwało mu pukanie do drzwi. Było ostre i natarczywe i towarzyszył mu kobiecy głos:

- Panie MacKenzie! Panie Nolula! Czy jesteście tam, panowie?

MacKenzie się podniósł.

- To panna Lessing z misji handlowej. Przez nią kontaktujemy się z sir Rogerem.

- Może sir Roger odnalazł Iana! - wykrzyknął Nolula.

MacKenzie otworzył drzwi i do pokoju spieszenie weszła wysoka, czarnowłosa kobieta. Nosila granatowy sweter i szare spodnie.

- Czyście go znaleźli? - zapytała od razu. - Mówiliście, żebyśmy się nie kontaktowali telefonicznie, a nadeszła pilna tajna wiadomość...

Panna Lessing zobaczyła nagle chłopców i urwała, spoglądając na nich podejrzliwie.

- Nie wiedziałam, że nie jesteście sami, panie MacKenzie - powiedziała oziębło. -

Wiadomość dotyczy ważnych spraw państwowych i nie mogę o tym mówić przy obcych.

- Czy chodzi o Iana? - zapytał MacKenzie.

- Czy sir Roger go odnalazł lub miał od niego nową wiadomość? - wypytywał Nolula.

- Nie, niestety nie.

- Dobrze, chłopcy - powiedział MacKenzie. - Myślę, że możecie się natychmiast zabrać do poszukiwań. Pamiętajcie, że trzeba znaleźć Iana jak najszybciej. Gdy dowiecie się czegoś, skontaktujcie się z nami.

Chłopcy skinęli głowami i wyszli z pokoju. Udali się spieszenie na przystanek autobusowy.

- Od czego zaczynamy, Jupe? - zapytał Bob ochoczo.

- Przejrzemy książkę telefoniczną, adresową, mapę i wszystkie przewodniki po Rocky Beach pod kątem tego, co wiemy o Djangie. Napisał "siedziba Djangi", więc zaczniemy od nazw własnych różnych dzielnic i obiektów w mieście. Rozdzielimy się. Pete może pójść do ratusza sprawdzić mapy, ty przestudiujesz książki telefoniczne i adresowe, a ja spróbuję coś znaleźć w Towarzystwie Historycznym.

- Czy mogę najpierw pójść do domu coś zjeść? - zapytał Pete.

Jupiter westchnął.

- Daruj to sobie, Pete. Kup gdzieś po drodze hot doga i zabierz się do map. Po południu spotkamy się w Kwaterze Głównej.

Nadjechał autobus. W drodze do centrum Rocky Beach Bob sporządził trzy listy miejsc związanych z Djangą. Zaopatrzeni w listę, chłopcy poszli - każdy w swoją stronę - prowadzić dalsze dochodzenie.

Było wpół do czwartej, gdy Jupiter opuścił siedzibę Towarzystwa Historycznego i skierował się do bazy detektywów. Ani w przewodnikach, ani w najnowszej historii Rocky Beach nie znalazł nic, co kojarzyłoby się z Imbulą, Zingwałą, Ulagą, Fortem George, Doliną Karga, Fortem Smith lub nawet z Fernwoodem czy Anolleyem.

W Kwaterze Głównej nie było jeszcze ani Boba, ani Pete'a. Jupe poszedł więc do swojej pracowni zająć się sygnalizatorami alarmowymi. Założył do nich baterie i wypróbował działanie urządzeń. Potem wczłogał się z powrotem do przyczepy i starał się wymyślić jakiś związek między wodzem Djangą a Rocky Beach. Był pewien, że rozwiązanie kryje się w którymś ze sławnych miejsc, łączących się z dawnym wodzem. Ian nie zostawiłby wskazówki zbyt trudnej do odszyfrowania.

Była niemal piąta, gdy wreszcie przyszli Bob i Pete. Ich ponure miny były dostatecznie wymowne.

- Zupełnie nic - westchnął Bob.

- To są wyłącznie afrykańskie nazwy, Jupe - powiedział Pete. - A w Rocky Beach nie ma nic afrykańskiego.

- Nie wyczerpaliśmy jeszcze wszystkich źródeł. Po obiedzie pójdziemy do biblioteki i zobaczymy, co tam mają o Djandze - zdecydował Jupiter. - Może są jeszcze inne ważne nazwy, o których Mac i Nolula zapomnieli.

- Ja wychodzę wieczorem z rodzicami - powiedział Bob.

- A ja muszę zrobić coś w domu po obiedzie - wymówił się Pete.

- Dobrze, będę dalej pracował sam.

- Jupe? - zaczął Pete z nieszczęsną miną. - Coś mi mówi, że jesteśmy na złym tropie.

- On może mieć rację - poparł kolegę Bob.

- Nie! Sądzę, że Ian dał nam w pewien sposób znać, gdzie się znajduje.

Ale Jupiter nie czuł już wielkiego przekonania.

## Rozdział 10

### Jupiter coś przeoczył

Następnego rana przy śniadaniu Jupiter ledwie dziobał jedzenie. Nie był zbyt głodny.

- Coś takiego! - wykrzyknęła ciocia Matylda. - Może jesteś chory?

- Nie, ciociu - odparł Jupiter i westchnął.

Mało spał. Obudził się wcześniej i przeleżał w łóżku chłodny świt, zastanawiając się, czy przypadkiem Pete nie miał tym razem racji. W bibliotece znalazł całą książkę o Nandzie. Wypożyczył ją i przesiedział nad nią w Kwaterze Głównej pół nocy. Nie znalazł w niej nic nowego ani ważnego poza tym, o czym mówili już MacKenzie i Nolula.

- Może masz ochotę na bekon? Albo na tosta? - zapytała zaniepokojona ciocia Matylda, gdy wreszcie skończył swoje płatki na mleku.

- No, może poproszę o jednego tosta - zgodził się Jupe. - I troszeczkę bekonu. Cztery, pięć plasterków, to wszystko.

- Chłopak się zagłodzi - powiedział wujek Tytus.

Jupiter był nadal pewien, że Ian Carew starał się podać miejsce swego ukrycia, ale albo był zbyt ostrożny, albo Jupe coś przeoczył. Po raz pierwszy musiał przyznać, że nie wie, jak wybrnąć z sytuacji. Co gorsza, nie wiedział nawet, do czego ma się zabrać, kiedy skończy śniadanie!

W tym momencie rozległ się telefon. Jupiter nawet nie podniósł głowy nad ostatniego kęsa bekonu. Rozpamiętywał swą porażkę. Nie mógł znieść myśli, że przegrał.

- To Bob do ciebie - powiedziała ciocia Matylda.

Jupiter wziął słuchawkę ze znużeniem.

- Tak, słucham.

- Jupe, znalazłeś! Dlaczego nie zadzwoniłeś do nas?!

- Co? - Jupiter zamrugał oczami. - Co znalazłem?

- Jak to co, rozwiązanie! Gdzie ukrywa się Ian!

- Nie żartuj, Bob - rozzłościł się Jupiter. - Nie mam dziś nastroju do kawałów. Musimy pójść do MacKenziego i Noluli i poszukać innej drogi. Może...

- Czy to znaczy, że nie zauważyłeś?

- Nie zauważyłem? Czego? Gdzie?

- W książce, którą pożyczyłeś wczoraj z biblioteki.

- O czym ty mówisz? W książce nie ma nic nowego. Przeczytałem ją od deski do

deski.

- A więc to przeoczyłeś. Jesteśmy obaj tutaj, w Kwaterze Głównej. Pospiesz się!

- Bob? O co chodzi?

Ale Bob już odłożył słuchawkę. Jupe przełknął ostatni kawałek tosta, wybiegł z domu i popędził do składu złomu po drugiej stronie ulicy. Gdy wynurzył się z otworu w podłodze, Bob i Pete szczerzyli zęby w denerwującym uśmiechu.

- Detektyw powinien mieć zawsze oczy otwarte - zakpił Pete z powagą.

- Naprawdę przeoczyłeś to, Jupe? - zarechotał Bob.

- Tak, jeśli faktycznie jest tam coś do przeoczenia - mruknął Jupiter.

- Powiedz mu, Bob - ponaglił Pete.

- Widzisz, kiedy czekaliśmy tu na ciebie, Pete zauważył książkę, którą wczoraj przyniosłeś, no i przeczytaliśmy sobie rozdział o Djandze i tam to było!

- Co? Przejdź do rzeczy, Bob. Bob wziął książkę i zaczął czytać:

*Dla Djangi, ostatniego wielkiego wodza Nandy, nastał czas nadziei. Jego świetne zastępy pokonały i rozgromiły źle dowodzone siły brytyjskie w liczbie sześciuset żołnierzy zawodowych i tysiąca zaciężnych tubylców, w bitwie pod Imbula, czyli Wzgórzem Czerwonego Lwa, wstrzymując tym samym natarcie Europejczyków na okres trzech lat.*

Bob przerwał czytanie. Obaj z Pete'em uśmiechali się wyczekująco. Ale ich zażywny przywódca mrugał tylko oczami.

- No i co? - zapytał. - Przecież wiedzieliśmy już o Imbuli...

- Jupe! - krzyknął Bob. - Wzgórze Czerwonego Lwa! To znaczy Imbula po angielsku! Czy nie pamiętasz? Ranczo "Pod Czerwonym Lwem"! Sławny stary hotel, gdzie wszystkie gwiazdy hollywoodzkie zwykli spędzać wakacje, na odludziu.

Jupitera zatkało na chwilę. Następnie roześmiał się głośno i klepnął Boba w plecy.

- Znalazłeś rozwiązanie, Bob! Ranczo "Pod Czerwonym Lwem"! Nie jest już dziś tak znanym hotelem, ale wciąż jeszcze jest to miejsce ciche i odludne. Wymarzone miejsce dla sir Rogera na spędzenie wakacji z synem! Kompletnie przeoczyłem angielskie tłumaczenie nazwy Imbula!

- Wszyscy popełniamy pomyłki - zauważył Pete niewinnie. Bob i Pete wybuchnęli śmiechem, a Jupiter zawtórował im po chwili.

- Racja, racja - powiedział ze skruchą. - Trzeba zatelefonować do MacKenziego i Noluli!

Ale na telefon nikt nie odpowiadał.

- Są pewnie na śniadaniu. Pojedziemy tam i odszukamy ich - zdecydował Jupe.

- Lepiej pojedźmy autobusem - doradził Bob. - Na pewno zabiorą nas do "Czerwonego Lwa" samochodem i nie będzie co zrobić z rowerami.

- Słusznie - przyznał Pete.

Jupiter również się zgodził i wyszli spiesznie z Kwatery Głównej. Dwadzieścia minut później wysiedli z autobusu przed hotelem "Miramar". Recepcjonista połączył się z pokojem Nandyjczyków i polecono mu wysłać chłopców natychmiast na górę.

- Czy mieliście jakieś nowe wiadomości? - zapytał Jupiter Nandyjczyków, gdy weszli do ich pokoju.

- Nie, tylko że w Nandzie wzrasta napięcie i sir Roger desperacko pragnie znaleźć Iana - odparł MacKenzie.

- Myślę, że będziemy mogli pomóc - oznajmił Jupiter triumfalnie i opowiedział o odkryciu.

- Wzgórze Czerwonego Lwa! Oczywiście! - wykrzyknął Nolula. - To dokładne znaczenie słowa "Imbula". Dobra robota chłopcy. Mielicie rację, sir Roger był zbyt wytrącony z równowagi, żeby zrozumieć, co Ian mu przekazuje.

- Mówiłem, że to mądre dzieciaki - promieniał MacKenzie. - Chodźmy do samochodu.

Zeszli na parking, wsiedli do wielkiego cadillaca i wyjechali na ulicę. Bob pilotował MacKenziego przez miasto aż po północne przedmieścia u podnóża gór. Ranczo "Pod Czerwonym Lwem" było niewidoczne z drogi. Oprócz głównego trzykondygnacyjnego hotelu miało kilka małych, żółtych, stiukowych domków i białych, drewnianych willi. Wszystko to było osłonięte wysokim żywopłotem z oleandrów i hibiskusów. MacKenzie zaparkował samochód i weszli do głównego budynku.

Nieskazitelnie ubrany recepcjonista podniósł głowę z uprzejmym uśmiechem. Uśmiech znikł jednak natychmiast z jego twarzy.

- Panie Ember! - zawołał.

W głębi za kontuarem otworzyły się drzwi i wyszedł przez nie niski, chudy człowieczek w sportowej marynarce w kratkę i brązowych spodniach. Na widok Jupe'a wytrzeszczył oczy.

- A więc wróciłeś! W samą porę! Zapłacisz natychmiast swój rachunek, młody człowieku!

- Zatem Ian Carew był tutaj! - wykrzyknął Jupiter.

- Czy pan jest dyrektorem hotelu? - zapytał małego człowieczka MacKenzie.

- Tak, jestem - odpowiedział tamten krótko, nie odwracając oczu od Jupe'a. - Nie wiem, co to ma znaczyć, młody człowieku, ale jeśli natychmiast nie zapłacisz rachunku, będę zmuszony zadzwonić na policję!

- To nie będzie konieczne - powiedział spokojnie Nolula. - Uregulujemy rachunek, a ten młody człowiek nie jest Ianem Carewem.

- Nie? - dyrektor patrzył na nich, zmieszany i podejrzliwy. - Przecież widzę...

- Wygląda jak Ian - przerwał mu MacKenzie - zapewniamy pana jednak, że nim nie jest.

Wyjaśnił dyrektorowi podobieństwo dwóch chłopców.

- Być może widział pan w tych dniach moje zdjęcie w gazecie - dodał Jupiter, starając się za wszelką cenę udowodnić, że nie jest Ianem.

Dyrektor potrząsnął głową.

- Gościmy w tym tygodniu małą konferencję i byliśmy niezwykle zajęci. Nie miałem czasu na przejrzenie gazet - obrzucił badawczym spojrzeniem niedbały strój Jupitera i pociągnął nosem. - Muszę przyznać, że nigdy nie widziałem Iana Carewa ubranego tak... nieoficjalnie. Ale jeśli to nie Ian, dlaczego jesteście panowie skłonni zapłacić jego rachunek?

- Pan Nolula i ja reprezentujemy sir Rogera Carewa - wyjaśnił MacKenzie. - Oto nasze listy uwierzytelniające. Może pan je sprawdzić w naszej misji handlowej w Los Angeles. A teraz proszę nam powiedzieć, ile Ian jest winien.

Nolula płacił przedłożony rachunek, podczas gdy dyrektor studiował listy uwierzytelniające. Potrząsnął głową.

- To jest niezwykle skomplikowane.

- Zdaję sobie z tego sprawę i chętnie bym to panu wyjaśnił, ale sprowadza nas tutaj pewna niezwykle pilna sprawa. Jeśli Iana tu nie ma, musimy go natychmiast odnaleźć. Czy może pan powiedzieć, co zaszło od chwili jego przybycia do hotelu?

- Więc... - dyrektor zawahał się, wreszcie skinął głową. - Dobrze, Ian przybył tu mniej więcej tydzień temu. Pamiętałem go oczywiście z poprzedniego pobytu, kiedy tu spędzał wakacje z ojcem. Powiedział, że ma się spotkać z sir Rogerem w najbliższych dniach. Potraktowaliśmy go naturalnie z wszelką kurtuazją. Ale kilka dni później przyszli po niego dwaj mężczyźni. Również twierdzili, że przychodzą od sir Rogera. Zdawali się dobrze znać chłopca i poprosili o numer jego pokoju. Takiej informacji nie podajemy bez porozumienia z naszym klientem. Poprosiliśmy o podanie nazwisk i zatelefonowaliśmy do pokoju młodego Carewa. Poleciał posłać jego gości natychmiast na górę.

- Czy może pan opisać tych mężczyzn? - wtrącił szybko Jupiter.

- Nie pamiętam ich zbyt dokładnie, to było cztery dni temu. Jeden był dość tęgi, miał brązowe, kręcone włosy, drugi był znacznie wyższy i szczuplejszy i miał włosy czarne. Nie przypominam sobie ich nazwisk.

MacKenzie i Nolula spojrzeli na Jupitera, który skinieniem głowy potwierdził, że tak wyglądali porywacze.

- Co zaszło potem, gdy poszli na górę? - zapytał MacKenzie.

- Wszystko to było dość dziwne, ale w tamtym momencie tak nie myślałem. Wkrótce po ich wejściu na górę zobaczyłem, że młody Carew opuszcza hotel frontowymi drzwiami. Po upływie może pięciu minut zeszli na dół ci dwaj panowie i również wybiegli z hotelu.

- Czy wtedy widział pan Iana po raz ostatni? - zapytał Nolula.

- Tak, już tu nie wrócił, zostawiając nie zapłacony rachunek!

- Straciliśmy go zatem z oczu, panowie - powiedział Nolula gorzko.

- A ja byłem przekonany, że go tu znajdziemy - westchnął Bob.

Jupiter rozmyślał nad czymś.

- Czy możemy zobaczyć jego pokój? - zapytał.

Dyrektor spojrział na tablicę z kluczami.

- Tak, proszę. Pokój nie jest zajęty. - Sięgnął po klucz - pokój numer dwadzieścia dziewięć, pierwsze piętro, od frontu. Można wjechać windą lub pójść schodami, które znajdują się za windą.

Idąc do windy, MacKenzie kręcił z powątpiewaniem głową.

- Po co oglądać pokój, Jupiterze? Nie ma go tutaj. Pozostaje nam tylko nadzieja, że się znowu odezwie.

- Miał wyraźne podejrzenia co do tych mężczyzn - powiedział Jupiter, przywołując windę. - W przeciwnym razie nie uciekałby z hotelu. Musiał ich rozpoznać. W jakiś sposób udało mu się uciec im ponownie, nim dotarli do jego pokoju.

- Czy to może nam w czymś pomóc? - zapytał Nolula.

- Oczekiwał, że jego wiadomość sprowadzi do hotelu sir Rogera. Gdy stało się inaczej i musiał ponownie uciekać, starał się na pewno zostawić wiadomość, dokąd zamierza się udać - wyjaśnił Jupiter.

Zjechała winda, wsiedli i Jupiter nacisnął guzik pierwszego piętra.

- Skoro Ian uważał, że jego pokój hotelowy jest jedynym miejscem, gdzie ktoś go będzie szukał, wiadomość mógł zostawić tylko tam!



## Rozdział 11

### Sprytny uciekinier

Gdy weszli do pokoju dwadzieścia dziewięć, Pete jęknął:

- Jupe, posprzątali tutaj!

Jupiter skinął głową i rozglądał się zaniepokojony po dużym pokoju. Tonął w słońcu, wpadającym przez wysokie okna, przez które widać było podjazd i postój taksówek przed hotelem. Dalej rozciągał się widok na przedmieścia Rocky Beach aż po błękitny Ocean Spokojny.

- Wszystko, co zostawił, zostało prawdopodobnie wymiecione! - rozpaczał Bob.

- On ma rację, Jupiterze - powiedział MacKenzie. - Wszelkie notatki i papiery musiała wyrzucić pokojówka.

- Prawdopodobnie tak - przyznał Jupiter. - Choć hotelowe pokojówki nigdy nie sprzątają dokładnie. Nie sądzę jednak, by Ian zostawił zwykłą notatkę. Było zbyt duże ryzyko, że porywacze prędzej czy później przeszukają pokój. Nie, Ian zostawił zapewne coś zamaskowanego, rodzaj szyfru lub symbolu. Coś rozpoznawalnego dla stronników sir Rogera, a nie dla jego wrogów. To niekoniecznie mógł być kawałek papieru.

- Masz na myśli coś - podjął Bob - co mógł szybko zaaranżować i czego nie dało się usunąć z pokoju? Coś, czego nie zauważyliby porywacze, ale co przyciągnęłoby uwagę przyjaciół?

- Właśnie, Bob.

- Więc szukajmy! - zawołał MacKenzie.

Pete przeszukiwał łazienkę, pozostali pokój. Przypatrywali się uważnie ścianom, przesuwali sprzęty, zaglądali za obrazy, zasłony i pod dywany, nawet za obudowę kaloryferów i żyrandola. Jupe odrzucił pościel i sprawdził, czy Ian nie napisał czegoś na materacu. Nikt z nich nie znalazł jednak choć znaku, który by przypominał jakąś wiadomość lub wskazówkę.

- Prawdopodobnie znowu podeszliśmy do sprawy zbyt bezpośrednio - zdecydował Jupiter. - W swej pierwszej wiadomości Ian użył podwójnego szyfru: "siedziba Djangi" odnosi się do Imbuli, a Imbula oznacza Czerwonego Lwa. Wskazówkę zamaskował dwukrotnie.

- I trzeba było specjalnej wiedzy, żeby ją rozszyfrować - zauważył Bob.

- Słusznie. Tak więc osoba, która wytropiła Iana tutaj, musiała wiedzieć pewne rzeczy.

Jestem pewien, że Ian z tym się liczył. Mac, czy Ian ma jakieś szczególne upodobania, zainteresowania lub dziwactwa?

- Interesuje go historia Nandy - odpowiedział Nolula.

- Kolekcjonuje afrykańskie rzeźby w drewnie - dodał MacKenzie. - Ach, czekaj! Robi małe rysunki. Zwłaszcza na ścianach. Sir Roger mówił kiedyś, że nawet w jego biurze zarysował ścianę!

- Rysunek w miejscu, gdzie nie zostałby starty ani zauważony przez porywaczy! - wykrzyknął Jupiter. - Tego powinniśmy szukać! Do roboty!

Ale znowu niczego nie znaleźli, ani na ścianach, ani na żadnym meblu.

- Tu nic nie ma, Jupe - powiedział Pete z westchnieniem. - Myślę, że Ian po prostu nie miał już na nic czasu, kiedy zobaczył porywaczy.

Jupe odwrócił się do niego gwałtownie.

- Pete, właśnie powiedziałaś, w czym rzecz!

- Naprawdę? Co ja powiedziałem?

- To oczywiste, że Ian jest sprytnym chłopcem - mówił Jupiter z namysłem. - Powiedział jednak dyrektorowi hotelu, żeby przysłał jego gości natychmiast na górę! Ukrywał się i nie mógł być pewien, czy przychodzą do niego przyjaciele czy wrogowie. Czy my na jego miejscu zaprosilibyśmy ich od razu do pokoju?

- Nie - powiedział Bob. - Kazalibyśmy ich zatrzymać, dopóki dyskretnie nie obejrzymy sobie, kto to taki.

Jupiter skinął głową.

- Oczywiście, Ian mógł zobaczyć tych mężczyzn przez okno, ale byłby to szczęśliwy przypadek. Nie, może być tylko jeden powód, dla którego tak postąpił: nie musiał kazać ich zatrzymać i być może rozbudzać tym samym ich podejrzliwość, ponieważ miał gotowy plan!

- Jaki? - zapytał Bob.

- Najprostszy z możliwych: opuścić pokój i ukryć się gdzieś, skąd mógł ich widzieć i mieć równocześnie przewagę nad nimi w ucieczce, gdyby okazali się jego prześladowcami z Los Angeles. Chodźmy.

Wszyscy wyszli za Jupiterem na korytarz.

- Miejsce bliskie wyjścia - myślał na głos Jupe. - Miejsce, z którego mógł widzieć ich twarze. Miejsce takie... - przebiegł oczami korytarz - jak schowek na miotły!

Był to rodzaj szafy ściennej na bieliznę pościelową i szczotki, o parę zaledwie kroków od klatki schodowej. Przy uchylonych na centymetr drzwiach widziało się stąd windę i szczyt schodów. Każdy udający się do pokoju Iana musiał być widoczny.

- Szukajcie rysunku! - polecił Jupiter.

Pete znalazł niemal od razu na wewnętrznej stronie drzwi.

- Tutaj! Hej, to jest całkiem dobry rysunek auta. Widać kierowcę i rodzaj emblematu na boku samochodu, i coś na dachu!

Jupiter podniósł brwi.

- Samochód? Co może oznaczać samochód?

- To nie jest zwykły samochód, Jupe! - wykrzyknął Bob. - Patrz, kierowca ma czapkę i ta rzecz na dachu to światło! To jest taksówka!

- Postój taksówek jest przed hotelem! - zawołał MacKenzie.

- Oczekiwał, że domyślimy się, skąd będzie obserwował, kto do niego przychodzi - powiedział Nolula. - Teraz mówi nam, że zamierza uciekać taksówką!

Niemal biegiem dopadli jedynej na postoju taksówki! Kierowca czytał sobie pismo. Nie, nie zabierał z hotelu żadnego chłopca cztery dni temu ani żadnego innego dnia.

- Ile taksówek zatrzymuje się zwykle na tym postoju? - zapytał Nolula.

- Wiele, panie. Ale wszystkie z naszej firmy. Wyłącznie.

- Gdzie mieści się wasza baza? - spytał MacKenzie.

Pojechali zgodnie z instrukcjami taksówkarza do głównego garażu i biur firmy. Mieściły się obok torów kolejowych i składów drzewa, nie opodal zatoki. Znaleźli kierownika w zabałaganionym biurze na tyłach garażu. Wyjaśnili, o co chodzi, i kierownik sprawdził listę.

- Czerwony Lew? Cztery dni temu? Okay, mam tu czterech kierowców, którzy pracowali tam tego dnia. Niech no sprawdzę. Myślę, że Falzone i Johansen są teraz na miejscu. Możecie z nimi pogadać.

Johansen grzebał w silniku swojej taksówki. Cztery dni temu nie brał żadnego chłopca spod hotelu "Czerwony Lew".

Falzone miał właśnie przerwę na kawę.

- Pewnie, wiozłem dzieciaka z "Czerwonego Lwa" i to jest ten dzieciak! - wskazał palcem na Jupitera. - Porwali cię dwa dni później, co? Widziałem w gazecie twoje zdjęcie. Człowieku, ale musiałeś mieć...

- Porwano mnie - przerwał mu Jupiter - ale nie jestem chłopcem, którego pan wiozł. Proszę przyjrzeć mi się lepiej. Taksówkarz zmarszczył czoło.

- No, wyglądasz tak samo jak tamten dzieciak, tylko ubrany jesteś inaczej i mówisz inaczej. Okay, skoro mówisz, że jesteś kimś innym, to pewnie jesteś.

- Czy pamięta pan, dokąd zawiózł pan chłopca? - zapytał Nolula.

- Pewnie - skinął głową Falzone. - Dobrze pamiętam, bo chłopak zachowywał się dziwnie, jakby coś przeszkobał czy co. Wybiegł z hotelu, powiedział mi, żeby jechać na drugą stronę miasta i wciąż patrzył przez tylne okno. Pomyślałem, że może zwędził coś z hotelu albo uciekł komuś. Potem ten samochód...

- Ale gdzie go pan zawiózł? - wtrącił niecierpliwie MacKenzie.

- Właśnie mówię. Patrzył za siebie przez całą drogę i przejechaliśmy już całe miasto, gdy nagle mówi "stop". To było akurat w miejscu, gdzie niczego nie ma. Same magazyny i fabryki dookoła. Zapłacił, wysiadł i pobiegł w głąb jakiejś uliczki. Nawet na resztę nie poczekał. Potem, jak już zacząłem mówić, minął mnie wolniutko ten samochód z dwoma jakimiś facetami w środku. Nie zatrzymali się, ale się domyśliłem, że jadą za dzieciakiem.

- Jaki samochód? - zapytał Jupiter.

- Zielony mercedes. Ładny wóz. Zawsze chciałem mieć taki.

- Proszę nas zawieźć w miejsce, gdzie zostawił pan chłopca - powiedział Nolula.

- Dobra, to niedaleko stąd.

Nie było daleko. Falzone zatrzymał się na obrzeżach miasta, w opustoszałej dzielnicy magazynów, małych fabryk i pustych placów. Wskazał przejście między dwoma budynkami.

- Wbiegł w tę uliczkę i tyle go widziałem. Zapłacili taksówkarzowi i MacKenzie zaparkował cadillaca przy krawężniku.

- Dlaczego chciał tutaj przyjechać? - zastanawiał się Pete, rozglądając się po opustoszałym sąsiedztwie.

- Może chciał tylko zgubić porywaczy - powiedział Bob. - Musiał widzieć, że za nim jadą.

- To całkiem możliwe - przyznał Jupiter. - W takim razie tu gdzieś szukałby schronienia. Chodźmy jego śladem przez tę uliczkę, zobaczymy, czy nie ma tam dalszych wskazówek.

Uliczka była wąska, po obu jej stronach wznosiły się nagie, ceglane mury. Było w nich troje drzwi, ale wszystkie zamknięte na wielkie, zardzewiałe kłódki, wyraźnie od dawna nie otwierane. Dotarli do końca uliczki.

- Co teraz? - zapytał Pete.

Ulica, na którą wyszli, wyglądała niemal tak samo jak ta, z której przyszli. Znajdowały się tu niskie, ciche magazyny, małe fabryczki i puste place, zawalone śmieciami. Kończyła się niedaleko na przecznicy biegnącej pod kątem prostym.

- Mógł stąd pójść w trzy strony - powiedział Nolula. - Może być wszędzie.

## Rozdział 12

### Trop się kończy!

- No, niezupełnie wszędzie, mógł pójść tylko w trzy strony - powiedział Jupiter.

- Co przez to rozumiesz? - zapytał Bob.

- Porywacze deptali mu po piętach i wiedział o tym. Przede wszystkim musiałyby znaleźć w pobliżu kryjówkę, nim by się wybrał gdzieś dalej.

- To prawda! - wykrzyknął MacKenzie. - Może być wciąż gdzieś blisko stąd.

- Mógł się chwilowo ukryć w jednym z tych magazynów - ciągnął Jupiter - ale nie byłoby to bezpieczne miejsce. Poza tym musiał coś jeść. Myślę więc, że szukałby motelu lub pensjonatu w pobliżu. Nie mógł za długo kręcić się po ulicach.

- Proponuję, żebyśmy się rozdzielili i poszli szukać we wszystkich trzech kierunkach równocześnie - powiedział Nolula. - Możemy też zajrzeć w każdą napotkaną przecznicę.

Pete i Nolula skierowali się w prawo, Jupiter i MacKenzie w lewo, a Bob zawrócił sam wzdłuż ulicy. Uzgodnili, że po godzinie spotkają się w wąskiej uliczce.

Pierwszy wrócił na miejsce spotkania Bob. Doszedł do końca ulicy, która urywała się na otwartym polu. Nie znalazł ani motelu, ani domu z pokojami do wynajęcia, ani żadnego innego miejsca, gdzie mógłby się schronić uciekinier. Była już pora obiadowa i Bob chodził zgłodniały tam i z powrotem, czekając na pozostałych.

Następni nadeszli Jupiter i MacKenzie.

- Kawalek dalej, blisko szosy, jest mały motel - relacjonował MacKenzie. - Ale w tym tygodniu nie zatrzymał się tam żaden samotny chłopiec. Jupitera rozpoznali tylko ze zdjęcia w gazecie.

- Aż po samą szosę są tam głównie pola i puste parcele - dodał Jupiter.

W końcu wrócili Pete z Nolula. Oni doszli najdalej.

- Aż do miasta - mówił Pete. - Znaleźliśmy motel i dwa domy z pokojami do wynajęcia, ale w żadnym nie zatrzymał się samotny chłopiec.

- Żadnego pokoju gościnnego nie wynajęto nikomu od miesiąca - powiedział Nolula.

- Ian uciekał, mając porywaczy tuż za sobą - rozważał MacKenzie. - Miał niewielką szansę, żeby zostawić jakąś wiadomość, i niemal żadnej nadziei, że ktoś ją kiedykolwiek znajdzie. Doprawdy, chłopcy, stanęliśmy w ślepych zaułku.

- To prawda, Jupe - powiedział Bob.

- Rzeczywiście wygląda, że utknęliśmy na mieliźnie - przyznał Jupiter niechętnie.

- Myślę, że najlepiej będzie, jeśli wrócimy z Adamem do hotelu - zdecydował MacKenzie. - Dowiemy się, czy Ian nie telefonował do Los Angeles. Musi wiedzieć, że go szukamy i że straciliśmy jego trop. Być może będzie się starał przesłać wiadomość przez misję handlową.

- Jeśli będzie w stanie - powiedział smutno Nolula.

- A my wrócimy do Kwatery Głównej i opracujemy plan działania - oświadczył Jupiter z uporem. - Skład złomu jest niedaleko stąd. Podrzucisz nas, Mac?

- O, nie, pora na obiad - zaprotestował Pete. - Idę do domu.

- Wobec tego ty idź też do domu, Bob - powiedział Jupiter. - Ja muszę przemyśleć pewną sprawę.

Wrócili do cadillaca. Nandyjczycy wysadzili najpierw Jupitera pod składem złomu, odległym o niecałe dwa kilometry. Bob i Pete uzgodnili, że stawią się w Kwaterze Głównej za godzinę, i MacKenzie podwiózł ich do domu.

Minęły jednak dwie godziny, nim Bob i Pete dotarli do ukrytej przyczepy. Zastali swego przywódcę zagrzebanego w mapy i papiery pełne notatek.

- Wymyśliłeś coś nowego, Jupe? - zapytał Pete.

- Tak, mam pewne pomysły, ale niewiele - Jupiter westchnął zgnębiony.

- Czy MacKenzie i Nolula nie telefonowali? Czy Ian kontaktował się z misją? - dopytywał się Bob.

- Ja zadzwoniłem do nich. Ian dotąd się nie odezwał.

- Wiesz co, Jupe? - powiedział Pete ze zmarszczonym w namyśle czołem, - Tak sobie myślałem: może oni go mają! Może porywacze wrócili i tym razem złapali właściwego chłopaka! Musieli czytać gazetę i dowiedzieć się o swojej pomyłce.

- Tak, myślałem o tym - skinął głową Jupiter. - To jest możliwe, ale nie sądzę, by do tego doszło. Gdyby porywacze go mieli, z pewnością zawiadomiliby o tym sir Rogera, a jak dotąd tego nie zrobili. Poza tym widziałeś kogoś, Pete, na pustej parceli i mam silne przeczucie, że to byli porywacze.

- Co?! - Pete przełknął głośno ślinę. - Chcesz powiedzieć, że właśnie w tej chwili mogą być gdzieś blisko?

- Jestem pewien, że są w pobliżu i obserwują albo nas, albo MacKenziego i Nolulę. Musimy być ostrożni, choć uważam, że dopóki nie znajdziemy Iana, nic nam nie grozi.

- Słuchajcie - odezwał się raptem Bob. - Jeśli Ian czytał w gazecie o porwaniu Jupe'a, czy nie powinien wyjść z ukrycia i zgłosić się na policję? Przecież gdyby go zobaczyli, wiedzieliby od razu, że jest to właściwy chłopiec, którego chciano porwać, i byłby

bezpieczny!

- Och, pewnie! - wykrzyknął Pete.

- Zgadzam się - przytaknął Jupiter. - Ian nie czytał zatem doniesienia prasowego. Pewnie ukrywa się w miejscu, w którym nie ma dostępu do gazet i boi się stamtąd oddalić. Gdybyśmy tylko odkryli, gdzie to jest!

- Mówiłeś, że masz jakieś pomysły - przypomniał mu Pete.

- Ach, myślałem o umieszczeniu ogłoszenia w gazecie. Ogłoszenia tak zaszyfrowanego, żeby tylko Ian wiedział, że to wiadomość przeznaczona dla niego, wzywająca go, żeby się spotkał gdzieś z MacKenziem i Nolulą. Ale skoro sobie uzmysłowiłem, że Ian nie czyta gazet, nie myślę, żeby to był dobry pomysł.

- Nie jest - przyznał Bob.

- Możemy też spróbować go odnaleźć "Systemem połączeń duch z duchem" - Jupiter mówił o doskonałej metodzie zbierania informacji, którą kiedyś wymyślił. Polegała na tym, że każdy z detektywów telefonował do pięciu swoich kolegów czy koleżanek z pytaniem o daną informację i prosił o przekazanie pytania dalszym pięciu osobom, i tak dalej. - Któres z kolegów czy koleżanek w Rocky Beach mogło natrafić na chłopca, mówiącego dziwnym akcentem.

- Jeśli w ogóle wystawia nos z ukrycia - zauważył Bob.

- I jeśli go nie pomylą z tobą - dodał Pete.

- Tu byłby problem - przyznał Jupiter. - Zatem wstrzymujemy się, powiedzmy do jutra, z uruchomieniem połączenia "ducha z duchem". Tymczasem możemy spróbować jeszcze dwóch możliwości, o których myślałem, Ian musiał już zdać sobie sprawę, że poszukujący stracili jego trop cztery dni temu w tej uliczce. Wie, że ostatnie pewne miejsce jego pobytu to ranczo "Pod Czerwonym Lwem". Więc...

- Staralby się tam wrócić i dowiedzieć, czy go szukano! - dokończył Pete.

- Oczywiście. Prawdopodobnie zakradnie się tam z największą ostrożnością. Prosiłem więc, żeby MacKenzie i Nolula czatowali tam na niego. Zapewne już tam są.

- Co jeszcze wymyśliłeś? - zapytał Bob.

- Pomyślałem o czymś, nad czym od dawna podświadomie się zastanawiałem. Jak doszło do tego, że porywacze wzięli mnie za Iana?

- Och, chyba zobaczyli cię po prostu w składzie - odpowiedział Pete.

- Gdyby z góry nie wiedzieli, że jest tu chłopiec, który wygląda jak Ian, po co by się w ogóle kręcili koło składu?

- Mogli zauważyć cię na ulicy i jechać za tobą - podsunął Bob.

- Możliwe, ale mam uczucie, że coś ważnego umyka naszej uwadze. Ci ludzie powodowali się czymś więcej niż przypadkowym spotkaniem mnie na ulicy.

- Czym, Jupe?

- Tego jeszcze nie wiem.

Trzej Detektywi umilkli. Żaden nie miał pomysłu, co robić dalej. Bob i Pete poszli więc do domu. Jupiter powlókł się markotnie do siebie na drugą stronę ulicy, żeby pooglądać telewizję. Potem wujek Tytus nie mógł odnaleźć błędu w książce rachunkowej składu i poprosił go o pomoc. Pracował nad tym, póki ciocia Matylda nie zawołała ich do stołu.

Mimo rozczarowań dnia Jupiter jadł z apetytem. W kilka chwil zmiotł wszystko z talerza i powiedział z uśmiechem:

- Nie ma jak twój gulasz, ciociu!

- Mhm - mruknęła ciocia Matylda. - Tylko nie mieści mi się w głowie, jak ty możesz w ogóle coś jeszcze przełknąć. Po tym ciągłym wyjadaniu z lodówki.

- Ciociu Matyldo, niczego nie brałem z lodówki. Już wczoraj ci mówiłem. O rany, nawet Pete...

Jupiter urwał z otwartymi ustami. Oczy mu się rozszerzyły. Przełknął głośno ślinę i zamrugał oczami.

- Czy ty się dobrze czujesz, Jupiterze? - zapytał wujek Tytus.

- Świetnie, wujku! Nigdy nie czułem się lepiej! - Jupiter zerwał się z krzesła. - Czy mogę wyjść na chwilę?

- Przed deserem? - zdziwiła się ciocia Matylda.

- Zjem go za sekundę.

Pobiegnął do salonu i szybko wykręcił numer telefonu Boba.

- Bob! Weź Pete'a i przyjeżdżajcie natychmiast do Kwatery Głównej! I powiedzcie rodzicom, że zostanieie u mnie na noc!

Jupiter odłożył słuchawkę i wrócił do stołu. Był tak podekscytowany, że zdołał zjeść tylko dwa kawałki ciasta z jabłkami i popić dużą szklanką mleka. Podziękował i poszedł spieszenie do ukrytej przyczepy.

Kiedy w piętnaście minut później Bob i Pete wygramolili się spod klapy w podłodze, siedział za biurkiem z szerokim uśmiechem.

- O co chodzi, Jupe? - wydyszał Bob, zziębnięty po szybkiej jeździe rowerem.

- Dlaczego mamy zostać u ciebie na noc? - pytał Pete.

- Ponieważ wiem, gdzie ukrywa się Ian Carew! - oznajmił Jupe z triumfem.



## Rozdział 13

### Twarzą w twarz!

- Gdzie, Jupe?! - wykrzyknął Bob.

- Skąd wiesz?! - wtórował mu Pete.

- To było od początku tuż pod naszym nosem - odpowiedział Jupiter. - Byliśmy ślepi, chłopaki! Wiedziałem, że przeoczyliśmy coś ważnego. Byłem pewny, że porywacze nie przyszli tu po prostu za mną, przyuważywszy mnie gdzieś na ulicy.

- Dlaczego? - zapytał Pete.

- Ponieważ zauważyliby od razu, że nie zachowuję się jak uciekinier, który stara się ukrywać. Widzieliby mnie w towarzystwie przyjaciół, robiącego to, co każdy mieszkaniec Rocky Beach. Mogli nawet usłyszeć, jak mówię, i wtedy nigdy nie popełniliby tej pomyłki!

- Ale ją popełnili - powiedział Bob.

- Właśnie, i w tym jest cała odpowiedź. Pomylili się, ponieważ zobaczyli mnie dokładnie tam, gdzie spodziewali się zobaczyć Iana!

- Tropiąc go? - wtrącił Bob.

- Tak! Tropiąc go w okolicy miejsca, w którym wysiadł z taksówki. I dotarli tam, gdzie przez ostatnie parę dni znikало jedzenie! - Oczy Jupitera błyszczały. - Chłopaki, Ian jest tutaj, w składzie złomu!

- W...w składzie? - Pete otworzył usta.

- Niecałe dwa kilometry od uliczki, w której znikł - mówił Bob w osłupieniu. - To nie szczury zjadły twoje drugie śniadanie, Pete. To Ian.

- Właśnie! Kiedy Ian uciekał jadącym za nim porywaczom przez tę uliczkę - ciągnął Jupiter - musiał dotrzeć do składu złomu. Uznał zapewne, że te wszystkie rupiecie zapewnią mu dobrą kryjówkę, a mój dom miejsce, skąd będzie kradł jedzenie. Porywacze dotarli tu jego tropem i krążyli wokół, dopóki nie zobaczyli mnie! Wzięli mnie naturalnie za Iana, skoro byłem tam, gdzie spodziewali się jego zobaczyć. Udali się w pościg za mną i tak doszło do pomyłki!

- Przez ten cały czas był po prostu tutaj? - Pete wciąż nie mógł uwierzyć.

- Jestem tego zupełnie pewny - potwierdził Jupiter. - Pozostaje tylko go znaleźć.

- Znaleźć? - Pete zmarszczył czoło. - Wyjdźmy po prostu i wołajmy go!

Jupiter potrząsnął głową.

- Nie, nie myślę, żeby to było skuteczne, Pete. Nie zna nas i widział nas

prawdopodobnie tylko z odległości. Musi być dobrze ukryty, bo gdyby zobaczył MacKenziego i Nolulę, wyszedłby do nich. Jeśli zaczniemy wrzeszczeć albo go szukać, wystraszymy go tylko i znowu zacznie uciekać. Wiemy zresztą, jak trudno kogoś znaleźć w tych rupieciach.

- O rany, Jupe, czy nie musi wyjść w końcu? - oponował Pete. - Nie może przecież siedzieć w ukryciu w nieskończoność.

- Nie, nie może. Kiedy uzna, że to bezpieczne, wróci prawdopodobnie do "Czerwonego Lwa" albo zatelefonuje do misji handlowej w Los Angeles. Na razie pozostanie w ukryciu.

- Więc co robimy, Jupe? - zapytał Bob.

- Mam plan - oświadczył Jupiter. - Podejrzewam, że Ian robi wypadki tylko późną nocą, kiedy wszyscy śpią.

- Dlatego chcesz, żebyśmy zostali na noc - zrozumiał Pete.

- Tak.

- Czy zastawimy pułapkę? Przyczaimy się i będziemy czekać? - zapytał Bob.

- Taki jest mój plan. Domyślam się, że Ian wychodzi tylko po jedzenie. Jest rozsądny, więc nie bierze dużo naraz. Tylko tyle, żeby ciocia Matylda myślała, że ktoś z rodziny wyjada z lodówki. To znaczy, że nie zgromadził więcej jedzenia i możemy zastawić pułapkę.

- Tam, skąd bierze jedzenie. Słusznie - skinął głową Pete.

- Jestem przekonany, że Ian nie opuści kryjówki, póki skład nie opustoszeje. Wyjdziemy więc na dwór i będziemy rozmawiać tak, żeby Ian nas usłyszał, gdziekolwiek by się ukrywał.

- O czym?

- O wycieczce, którą planujemy na jutro, i o jedzeniu na drogę, które trzeba dziś przygotować i położyć na ganku kuchennym u mnie, żebyśmy mogli z samego rana ruszyć.

- Rozumiem - powiedział Pete. - Trzy wałówki starczą mu na długo i to go skusi.

Jupiter skinął głową.

- Pomyśli, że będzie można zrzucić winę na jakichś włóczęgów. W każdym razie opuścimy skład koło dziesiątej, położymy na ganku trzy atrapy prowiantu i pójdziemy na górę do łóżek. To jest, tylko dwóch pójdzie spać. Trzeci przekradnie się na dół, do kuchni, skąd będzie obserwował ganek. Co dwie godziny będziemy się wymieniali tak, żeby każdy trochę się przespał. Weźmiemy nasze sygnalizatory. Ten, który będzie na czatach, włączy sygnalizator i gdy tylko zobaczy Iana, uruchomi alarm, jak zwykle komenda "na pomoc". Wtedy sygnalizatory w mojej sypialni zaczną buczeć i włączy się czerwone, pulsujące

światło. Buczek jest dość głośny, żeby pobudzić śpiochów!

- Co potem? - zapytał Bob.

- Dwaj z nas, którzy będą wtedy w sypialni, wstaną szybko i wyjdą z domu frontowymi drzwiami. Okrążą dom, każdy z innej strony. Ten, który będzie w kuchni, da pozostałym jakieś dwie minuty i napadnie na Iana z krzykiem. Kiedy Ian zacznie uciekać, musi okrążyć dom, bo tylko od frontu może się dostać z powrotem do składu i swojej kryjówki. Wpadnie więc na któregoś z nas. Ten go złapie i przytrzyma, póki nie przybiegną pozostali.

- Potem powiemy mu, kim jesteśmy i o MacKenziem, i Noluli, tak? - zakończył Pete.

Jupiter skinął głową.

- Tylko nie róbcie za dużo hałasu. Ciocia Matylda i wujek Tytus mają głęboki sen, ale jakiś większy raban mógłby ich obudzić. A teraz chodźmy do pracowni po nasze sygnalizatory i zajmijmy się czymś do dziesiątej.

Detektywi krzatali się najpierw z hukiem wokół pracowni, potem odbyli hałaśliwą przechadzkę po całym składzie. Udawali, że szukają lasek przydatnych na jutrzejszą wycieczkę. Rozprawiali głośno o wyprawie i o jedzeniu, które sobie przygotowują i zostawią na kuchennym ganku. Krótco przed dziesiątą pogasili zewnętrzne światła w składzie i poszli naprzeciw, do domu Jupe'a.

Szybko przygotowali atrapy paczek z prowiantem, wypychając zmiętymi gazetami trzy spore torby papierowe. Położyli je na obudowanym ganku kuchennym i poszli na górę, do pokoju Jupe'a. Pierwsze dwie godziny czuwania wylosował Bob. Oczekał, aż ciocia Matylda i wujek Tytus pójda do swojej sypialni, i przemknął się na dół do ciemnej kuchni. Pete i Jupiter wetknęli swoje sygnalizatory do kieszeni koszuli, żeby mieć pewność, że je usłyszą, i położyli się spać w ubraniach.

O północy Jupiter wymienił Boba. Torebki leżały nietknięte na ganku. Na dworze panował zupełny bezruch. Tylko odległą szosą przejeżdżały samochody i od czasu do czasu pojawiał się na ulicy samotny przechodzień.

Pete zajął miejsce Jupitera o drugiej nad ranem. Ziewał i myślał, czyby czasem nie podjąć czegoś z lodówki. Do przyścia Boba o czwartej był pełen zniechęcenia.

- Może Jupe się myli? - szepnął. - Albo Ian już sobie gdzieś poszedł? Albo wcale nie da się nabrać.

- Jestem pewien, że Jupe ma rację - odpowiedział Bob szeptem i dodał: - Ale możliwe, że Ian przeniósł się gdzie indziej. To nie jest jedyny dom przy ulicy, tyle że najbliższy.

O wpół do szóstej szary świt zaczął rozjaśniać niebo na wschodzie, lecz skład i dom

tonęły wciąż w ciemnościach. Wtem coś się poruszyło pod kuchennym gankiem.

Bob zerwał się na równe nogi. Zamrugał oczami i wpatrzył się w mrok. Ktoś niczym cień stał pod drzwiami ganku!

Bob uruchomił swój sygnalizator i szepnął cichutko:

- Na pomoc... na pomoc...

Na górze rozbrzmiał buczonek i zaczęło migać czerwone światło. Jupiter wyskoczył z łóżka i omal nie upadł. Szybko wyłączył oba aparaty i nasłuchiwał z zapartym tchem. Ale z dołu nie dobiegał żaden dźwięk. Potrząsnął Pete'em.

- Szybko! - szepnął.

Przemknęli do frontowych drzwi. Na dworze rozdzielili się i pobiegli z dwu stron na tył domu. Każdy ukrył się za krzakiem..

W kuchni Bob patrzył na zegarek. Drzwi ganku otwierały się cicho. Niewyraźna sylwetka o pulchnym kształcie Jupitera zarysowała się na tle słabego światła wczesnego świtu. Ruszyła od progu i sięgnęła po torby.

- Stój! - krzyknął Bob. - Ty! Ianie Carew!

Ze słabym okrzykiem chłopiec obrócił się na pięcie i zbiegł z ganku. Potknął się na schodach, upadł jak długi, poderwał się i pobiegł dalej. Gdy skręcał za róg domu, obejrzał się na Boba. W tym momencie wypadł na niego Jupiter.

- Ufff - stęknął, gdy się zderzyli.

- Aaach! - wrzasnął chłopiec.

Omali się nie wyrwał, ale Pete i Bob przybiegli w porę i go schwytali. Walczył dziko ze swymi trzema napastnikami.

- Jesteśmy przyjaciółmi, Ian!

- Pracujemy dla sir Rogera!

- Chcemy ci pomóc! MacKenzie...

Ale oszalały z lęku chłopiec nie przestawał się szamotać, aż go powalili. Pete usiadł na nim, a Jupiter opowiedział mu pokrótce całą historię.

- Gordon MacKenzie? - zapytał chłopiec. - Pan Nolula? Naprawdę są tutaj?

- Tak, Ianie - powiedział Jupiter. - Teraz jesteś bezpieczny. A raczej będziesz bezpieczny w naszej Kwaterze Głównej. Szybko, chłopaki!

Jupe zatrzymał się, żeby podnieść z ziemi swój sygnalizator, który wypadł mu z kieszeni koszuli podczas szamotaniny. Wetknął go do kieszeni spodni. Detektywi ciągnęli wahającego się chłopca przez słabo oświetloną ulicę i Zieloną Furtkę Pierwszą do składu. Potem poprowadzili go do Tunelu Drugiego.

- Gdzie... gdzie wy mnie zabieracie?

- Do naszej ukrytej przyczepy kempingowej - wyjaśnił Jupiter, czołgając się za Ianem przez tunel. - Ludzie, którzy chcą cię porwać, mogą być w pobliżu.

Pete pchnął klapę w podłodze i wszyscy wdrapali się do tonącej w ciemnościach przyczepy. Bob zapalił światło. Na widok Jupitera Ian rozdziawił usta i wytrzeszczył oczy.

- Ależ... ależ ty wyglądasz zupełnie jak ja!

## Rozdział 14

### Wstrząsające odkrycie

- Nie - roześmiał się Jupiter. - To ty wyglądasz jak ja!

Ian Carew śmiał się również.

- Skoro jesteśmy w twoim kraju, uznaję, że masz rację.

- Zwłaszcza w tym ubraniu - powiedział Pete.

Ian nosił stare spodnie Jupitera, białą koszulę, którą Jupe podarł miesiąc temu, i znoszone trampki.

- Niestety, moja odzież uległa zniszczeniu, kiedy czołgałem się wśród złomu pierwszego dnia mojej tu bytności, chcąc uniknąć pojmania - wyjaśnił Ian. - Byłem zmuszony skorzystać z ubrań, które znalazłem w pudle ze szmatami.

- Och, nie! - jęknął Pete. - Oni nawet gadają tak samo! Nie wiem, czy dam radę wytrzymać dwóch identycznych Jupe'ów.

Wszyscy się roześmiali.

- Przykro mi, że udaję bliźniaka - powiedział Ian - ale muszę powiedzieć, koledzy, że niezmiernie się cieszę, że mnie znaleźliście. Zaczynałem się zastanawiać, czy to się kiedykolwiek uda.

- Ja się cieszę, że znaleźliśmy się nawzajem - Jupiter uśmiechał się promiennie do swego sobowtóra.

- Jak dobrze nie być już samemu. Ale, ale. Nie znam nawet waszych imion.

- Twój sobowtór to Jupiter Jones, Pierwszy Detektyw - przedstawił kolegę Bob. - Ja jestem Bob Andrews, Dokumentacja i Analiza, a ten wysoki, jęczący, to Pete Crenshaw, Drugi Detektyw.

- Detektywi? - zdziwił się Ian. - Naprawdę?

- Oto nasza karta, sir - zażartował Jupiter, podając Ianowi wizytówkę Trzech Detektywów.

- Ależ to wprost cudownie! - wykrzyknął Ian z pewną zazdrością. - Wy, Amerykanie, robicie tak emocjonujące rzeczy. Jesteście prawdziwymi detektywami?

- Jesteśmy detektywami, którzy zostali wynajęci przez panów MacKenziego i Nolulę do znalezienia ciebie - odpowiedział Bob. - Przyszli do nas po porwaniu Jupe'a, którego twoi prześladowcy wzięli za ciebie!

- Naprawdę cię porwali, Jupiterze? - zapytał Ian.

Jupiter opowiedział mu o wszystkich przygodach, jakie przeżyli, odkąd zostali zamieszani w tę sprawę, Ian słuchał z uwagą.

- Wydedukowaliście więc, co chciałem powiedzieć przez określenia “siedziba Djangi”, i znaleźliście pod “Czerwonym Lwem” rysunek taksówki.

- I domyśliliśmy się, że jesteś tutaj, w składzie złomu - dodał z dumą Pete.

- Pyszna robota - zachwycił się Ian. - Ale co teraz zrobimy? Czy skontaktujemy się z MacKenziem i Nolulą, żeby mogli donieść mojemu ojcu, że jestem bezpieczny?

- Oczywiście - zgodził się Pete. - Możemy cię zaraz zabrać do hotelu “Miramar”.

- Czy to jest dobry pomysł? - zapytał Bob z namysłem. - Przecież porywacze mogą obserwować skład lub hotel MacKenziego i Noluli.

- Doprawdy tak sądzisz? - przeraził się Ian.

- Bob ma rację - powiedział Jupiter. - To możliwe. Jak powiedzieli Nolula i MacKenzie, ci ekstremiści niełatwo dają za wygraną. Jestem pewien, że w składzie jesteśmy bezpieczni i nie ma sensu ryzykować bez potrzeby. Lepiej zatelefonować do MacKenziego i Noluli i powiedzieć, żeby tu przyjechali.

- Ja do nich zatelefonuję - powiedział Bob.

Podczas gdy Bob łączył się z hotelem “Miramar”, Ian rozglądał się po przyczepie. Obejrzał biuro z biurkiem i szafką na akta, małe laboratorium, służące także jako ciemnia fotograficzna, a także interesujące wyposażenie detektywów.

- Bardzo tu przytulnie, koledzy. Dziwne, że nigdy nie zauważyłem z zewnątrz tej przyczepy.

- To wcale nie jest dziwne - powiedział Pete. - Z zewnątrz zupełnie jej nie widać. Okryliśmy ją kompletnie rupieciami. Nawet wujostwo Jupe'a zapomnieli, że tu stoi!

- Wspaniale!

Bob odłożył słuchawkę.

- Ich pokój nie odpowiada, Jupe. Recepcjonista nie wie, gdzie są, więc powiedziałem, że zatelefonuję później. Woląłem nie zostawiać wiadomości, ktoś mógłby ją przechwycić.

- Bardzo słusznie, Bob. Prawdopodobnie są “Pod Czerwonym Lwem”, jak im sugerowałem. Jeden z nich powinien niebawem wrócić do hotelu - Jupiter zwrócił się do Iana.

- No i właśnie sam, co zamierzałeś zrobić, gdybyśmy cię nie znaleźli?

- Zamierzałem wrócić do “Czerwonego Lwa”, kiedy już bym wyczuł, że to bezpieczne, i dowiedzieć się, czy ktoś dotarł tam moim tropem.

- Tak też myślałem - powiedział Jupiter z zadowoleniem.

- Czy zamierzałeś się skontaktować z misją handlową? - zapytał Bob.

- Tylko w ostateczności. Kiedy ci porywacze zjawili się “Pod Czerwonym Lwem”, zdałem sobie sprawę, że jakąś drogą przechwytyją wiadomości wysyłane z misji i wiedzą o mnie dostatecznie dużo, żeby je rozszyfrować.

Jupiter sięgnął do szuflady po maleńki kiel z kości słoniowej, który znaleźli w kanionie.

- Czy widziałeś to kiedyś, Ianie?

Ian obejrzał malutki kiel dokładnie.

- Jest z pewnością wykonany w Nandzie i wygląda mi znajomo. Myślę, że go już widziałem, tylko nie pamiętam gdzie.

- Bob, spróbuj jeszcze raz zadzwonić - odezwał się Pete.

Ian tymczasem oglądał dokładnie wyposażenie detektywów. Zobaczył peryskop, który wysuwał się nad dach przyczepy, dalej urządzenie nagłaśniające telefon, walkie-talkie, mikroskop - była tu nawet kamera telewizji wewnętrznej.

- Skąd wzięliście to wszystko? - zapytał.

- Większość zmajstrowaliśmy sami - odpowiedział Pete. - A raczej zrobił to Jupe z części, które trafiają do składu złomu.

- Na zewnątrz mamy pracownię - dodał Jupiter.

- Pracownię? Ależ ja również mam pracownię w domu!

- Byłeś już w naszej - powiedział Jupiter. - Przeszliśmy przez nią, żeby się tu dostać, ale w ciemnościach niewiele mogłeś zobaczyć. Byłeś tam jednak już przedtem i ściągnąłeś drugie śniadanie Pete'a!

- Niestety, nie zwróciłem wtedy na nią uwagi - odpowiedział Ian ze śmiechem. - Czy mogę ją teraz obejrzeć?

- Nolula właśnie wrócił - zawołał Bob od telefonu. - Jest w drodze do swego pokoju. Zaczekam tu na połączenie z nim.

- My będziemy w pracowni - powiedział Pete.

W trójkę opuścili się przez otwór w podłodze i przeczołgali się do osłoniętej pracowni. Słońce już weszło i było jasno. Ian rozejrzał się nerwowo.

- Czy tu jest bezpiecznie?

- O, tak - zapewnił go Jupiter. - Przez płot nikt nie może nas zobaczyć, a od reszty składu jesteśmy osłonięci stertami złomu. Zobaczymy każdego, kto by tu nadchodził.

Ian się rozpogodził i zaczął oglądać narzędzia w warsztacie i w całej pracowni. Jupiter pokazał mu piłę tarczową, tokarkę i drukarkę, Ian przyglądał się wszystkiemu z przejęciem.

- Muszę powiedzieć, że jesteście doskonale wyekwipowani - powiedział.



Z Tunelu Drugiego wyszedł Bob.

- Rozmawiałem z Nolula! Pojedzie po MacKenziego i zaraz tu będą.

- W pewnym sensie wolałbym, żeby nie przyjeżdżali od razu - powiedział Ian. - Chciałbym spędzić w waszej siedzibie cały dzień - pochylił się i wziął coś z półki pod warsztatem. - A to do czego służy, koledzy?

- To? To jest... to jest... - zaczął Pete. - Jupe, co to jest?

Bob wziął do ręki małe pudełeczko, znalezione przez Iana.

- Przecież to... to...

Jupiter wytrzeszczył oczy.

- Chłopaki! To nie jest nasze! To pluskwa!

- Pluskwa? - powtórzył Ian. - Czy pluskwa nie jest insektem?

- Urządzenie podsłuchowe! - wyjaśnił Jupiter. - Małeńki mikrofon! Ktoś nas słucha!

Szybko, musimy...

- Bez pośpiechu, chłopcy. Nigdzie nie pójdziecie! Do pracowni wszedł gruby porywacz o kręconych włosach. Za nim ukazał się ten drugi, wysoki, czarnowłosy. Obaj mierzyli do chłopców z pistoletów!

## Rozdział 15

### Problem dla wroga!

- No to mamy tu wszystkich - uśmiechał się zjadliwie gruby.

- Zdaje się, że znaleźliśmy naszego chłopaka, Walt - powiedział wysoki.

- Na to wygląda, Fred.

- Powinniśmy podziękować tym mądralom, co? - mówił Fred. - Tym razem oddali nam przysługę! Załatwili nam sprawę łatwo i przyjemnie.

- Bardzo wam dziękujemy - roześmiał się Fred.

Dwaj porywacze zdawali się nie spieszyć, bawili się doskonale. Gdybyż wreszcie nadjechali MacKenzie i Nolula!

- Nie ujdzie wam to płazem! - zawołał Bob zapalczywie.

- I tak niczego nie wskóracie u sir Rogera! - dodał Pete gromko.

- Ależ ujdzie, ujdzie, mój chłopcze, a co do sir Rogera, to się zobaczy - odparł Walt szyderczo.

Patrzył z uśmiechem to na Iana, to na Jupitera. Drugi również przyglądał się obu chłopcom. Bob i Pete zauważyli nagły błysk w oczach Juve'a.

- To było całkiem rozsądne, Jones, nie mówić nam, że wzięliśmy niewłaściwego chłopca - powiedział Walt. - Ale wrócić tu po pozbyciu się helikoptera było też niegłupie, he? Czytaliśmy gazetę i zrozumieliśmy nasz błąd. Domyśliliśmy się, że panicz Carew jest wciąż w tym rejonie, i kiedy policja szukała nas po całym stanie, my obserwowaliśmy skład.

- Widzieliśmy MacKenziego i tego dzikusa, Nolulę - powiedział Fred z uśmiechem. - Kiedy podjęliście, chłopcy, współpracę z nimi, wiedzieliśmy, że prędzej czy później zaprowadzicie nas do Iana. Było dziecinnie łatwo wmieszać się między klientów tego składu. Byliście tak zajęci szukaniem Iana, że nie zauważyliście nas.

- A właśnie, że was widzieliśmy! - krzyknął Pete ze złością.

- Po drugiej stronie ulicy? Tak, to była chwila dość niepokojąca - przyznał Walt. - Ale skończyło się na niczym. Widzieliśmy was w tej pracowni i pod waszą nieobecność z łatwością podłożyliśmy mikrofon.

Dwaj porywacze byli zwrócenii plecami do sterty rupieci. Bob rzucił Jupiterowi szybkie spojrzenie. Sterta ta była pułapką, w razie nagłej potrzeby można ją było zwalić na wroga. Jupiter potrząsnął lekko głową. Ryzyko było zbyt wielkie - mężczyźni byli uzbrojeni. A jednak oczy Jupitera błyszczały. Co planował?

- Cała policja stanowa was ściga! - odezwał się Pete, starając się zyskać na czasie.

- Znajdą was - dodał Bob.

- Ach, ale mamy przecież zakładnika, prawda? - odparł Walt.

- I dlatego nas nie tkną - zapewnił Fred drwiąco.

- No, Ian, czas iść - powiedział Walt.

- Przecież nie chcesz, żeby tu komuś stała się krzywda - dodał Fred ostrzegawczo.

Ian zrobił krok do przodu.

- Nie chcę, idę z wami, moi panowie.

Jupiter stanął obok Iana.

- Nie, to ja idę z wami, moi panowie.

- Ależ, Jupiterze! - powiedział Ian. - Nie możesz ponosić ryzyka.

- Ależ, Jupiterze, nie możesz ponosić ryzyka - powtórzył Jupe jak echo i nagle dodał: - doprawdy nie możemy zwieść tych panów, Jupiterze. Wiedzą, że jestem Ianem.

Jupiter mówił z brytyjskim akcentem! Dokładnie tym samym co Ian!

- Jupiterze! - protestował Ian. - Naprawdę nie próbujmy zwieść panów. Wiedzą z pewnością, że to ja jestem Ianem.

Dwaj porywacze stali, gapiąc się na obu chłopców. Porzucili kpiny i uśmiechy. Nagle stało się jasne, że nie wiedzą, który z chłopców jest Ianem! Bob zrozumiał, co znaczył błysk w oczach Jupe'a - wiedział, że porywacze nie są tego pewni. Chłopcy wyglądali tak samo, byli podobnie ubrani, a teraz mówili z tym samym akcentem!

- Dobra, tego już za wiele - powiedział Walt z pogrózką w głosie. - Chcę, żeby się teraz odezwał prawdziwy Ian.

- Dla jednego z was może się to źle skończyć - ostrzegwał Fred.

- Proszę, Jupiterze - powiedział Ian. - Muszę iść z nimi!

- Daj spokój, Jupiterze - odrzekł Jupe. - Wiedzą już, że jestem Ianem. Jesteś zbyt skory do pójścia z nimi.

Porywacze patrzyli na nich z wściekłością.

- To ten we wzorzystej koszuli - zdecydował Fred. - Tamten ma rację, ten drugi zbyt łatwo się godzi pójść z nami! Zwodzi nas.

- Ale prawdziwy Ian Carew starałby się przecież poddać, żeby ocalić przyjaciół - powiedział Walt. - Zrewiduj ich!

Fred z pistoletem w ręce zbliżył się do chłopców.

- Sprawdź ich ubrania - polecił Walt. - Oznakowanie z pralni!

Fred odwinął kołnierzyk koszuli Jupitera na karku.

- Mamy ich, Walt! Tu jest napis: Jones 1127!

Jupiter wzruszył ramionami.

- Podarłem moje ubranie, uciekając przed wami. Te rzeczy wziąłem ze składu. Proszę sprawdzić jego koszulę.

Fred zajął się kołnierz koszuli Iana. Zaklął siarczyście.

- Jones 1127! To na nic!

- Tak, istotnie, podarłem sobie ubranie i znalazłem spodnie i koszulę w składzie złomu Jonesa. Ale moje kieszenie są puste, co dowodzi, że jestem Ianem!

- Wobec tego jest dwóch Ianów, Jupiterze - powiedział Jupe. - Ja mam również puste kieszenie.

Bob i Pete wstrzymali oddech. Ale oczywiście! Jupiter spał tej nocy w ubraniu i wyjął wszystko z kieszeni.

- Jednakże, panowie. - ciągnął Jupe z brytyjskim akcentem - Jupiter ma w kieszonce koszuli coś, co udowodni, że to on jest Jupiterem Jonesem!

Fred sięgnął szybko do kieszeni koszuli Iana. Wyłuskał z niej małe urządzenie podsłuchowe i zawołał do swego współnika:

- Nasza pluskwa! To pracownia małego Jonesa, więc chyba on to zatrzymał.

- Idioto! - zirytował się Walt. - Słyszeliśmy, jak Ian Carew ją znalazł, a potem podawali ją sobie z rąk do rąk. Kto wie, który ją zatrzymał? I nie bierz dosłownie tego, co mówią. Przeszukaj ich dokładnie!

Fred poczerwieniał, obrócił się ze złością i wpadł z rozpędu na Jupe'a, który stanął tuż za nim. Jupiter złapał się jego marynarki, żeby nie upaść. Fred wyrwał się i zaklął.

- Ręce przy sobie! Stań tutaj.

Przeszukał dokładnie obu chłopców.

- Obaj nie mają niczego przy sobie. To beznadziejne, Walt.

Zarówno Jupiter, jak i Ian uśmiechali się szeroko.

- Skończmy z tym - powiedział Walt. - Ojciec Iana ma wojskowego szofera. Jak się on nazywa i jakiej jest rangi? Jeden z was może udowodnić, że jest Ianem, i zostawimy Jonesa w spokoju.

Bob i Pete zastygli. Nie było mowy, żeby Jupe znał odpowiedź, Ian mógł udowodnić, kim jest.

- W porządku - odezwał się Ian - tu mnie złapaliście. Jestem Jupiter Jones.

Twarze Boba i Pete'a pozostały bez wyrazu, ale w duchu wiwatowali. Ian podjął grę!

- Tak, przyznaję się - powiedział Jupiter. - Jestem Jupiter Jones.

Obaj porywacze zatrzęśli się ze złości. Walt zwrócił się do Boba i Pete'a.

- Może wy macie na tyle rozsądku, żeby położyć kres głupiej zabawie waszego przyjaciela. Powiedzcie, który z nich jest Ianem.

- On! - Pete wskazał na Iana.

- On! - Bob wskazał na Jupitera.

Walt skinął głową.

- Doskonale. Pozostaje nam tylko jedno.

Ruszył ku dwóm bliźniaczo podobnym chłopcom.

## Rozdział 16

### Niebezpieczna akcja

Adam Nolula udał się po MacKenziego “Pod Czerwonego Lwa”. Był już słoneczny ranek, gdy jechali razem do składu. Weszli spiesznie przez główną bramę. Żaden z chłopców ich nie oczekiwał. Rozglądali się po cichym i pustym jeszcze składzie.

- Ianie! - zawołał MacKenzie. - Jupiterze!

- Bob mówił, że są z Ianem w ich ukrytej Kwaterze Głównej. Nie bardzo wiem, co to jest - powiedział Nolula i zawołał: - Jupiterze Jones!

- Ian! Jupiter!

- Co to za hałasy, u licha! - na podwórku ukazała się ciocia Matylda. - Czy wiecie, która godzina?

- Bardzo panią przepraszamy - powiedział szybko MacKenzie. - Szukamy chłopców. Czy widziała pani Jupitera?

- Ach, to wy. Dorośli ludzie i zachowują się jak smarkacze!

- Czy może nam pani powiedzieć, gdzie jest pani siostrzeniec? - zapytał Nolula.

- Nie, nie mogę. Wymknął się o świcie ze swoimi kumplami, Bóg jeden wie, gdzie są.

- Ale to oni prosili, żebyśmy się tu spotkali.

- Więc pewnie buszują gdzieś po składzie. Zajrzyjcie do pracowni. Trzeba iść prosto do tej dużej sterty po lewej, a potem...

- Dziękujemy - przerwał jej MacKenzie. - Już byliśmy tam przedtem.

Poszli spiesznie przez skład. Lecz pracownię zastali pustą.

- Tu ich nie ma! - zawołał Nolula.

Gdzieś z pobliza słycać było ciche dudnienie. Jakby uderzenia o metal i stłumione chrząknięcia.

- To stamtąd! - wykrzyknął Nolula. - Z tej wielkiej rury! Podbiegli do niej i zajrzeli do środka. Wewnątrz leżeli Bob i Pete, związani i zakneblowani! Nandyjczycy wyciągnęli ich czym prędzej i uwolnili z więzów.

- Byli porywacze! - krzyknął Pete.

- Zabrali ich! - wtórował mu Bob z desperacją.

- Ich? - powtórzył MacKenzie. - Obu, Iana i Jupitera? Kiedy to się stało?

- Niecałe pięć minut temu - jęczał Pete. - Nawet mniej! Nie mogli się połapać, który jest który, a Ian i Jupiter nie chcieli im powiedzieć, więc wzięli obu.

- Dokąd ich zabrali? - zapytał Nolula.

- Nie wiemy!

- Jakim byli samochodem? Czy zauważyliście numer rejestracyjny?

- Nie widzieliśmy ich samochodu!

- Nie mogli zajeżdżać daleko - powiedział MacKenzie. - Policja...

- Peter! - wpadł mu w słowa Nolula. - Wyglądasz, jakby ci płonęła skóra na piersi!

Jakieś światełko miga pod koszulą.

- To twój sygnalizator, Pete! - wykrzyknął Bob. - To musi być od Jupe'a. Szybko, zobacz, z jakiego kierunku dochodzi!

Pete wyjął sygnalizator z kieszeni koszuli. Czerwone światło zapalało się i gasło nieregularnie. Kiedy włączył przycisk, rozległo się głośnie buczenie i wskazówka na malutkiej tarczy drgnęła i zwróciła się wprost w stronę centrum Rocky Beach.

- Słuchajcie, jak głośnie buczy! - zawołał Pete. - To znaczy, że są wciąż niedaleko!

- I nie oddalają się, tylko jadą do miasta! - powiedział Bob. - Spieszmy się, Mac!

Pojedziemy za nimi! Możemy jeszcze zdążyć!

Wszyscy puścili się pędem do cadillaca, stojącego pod składem. Pete siedział pochylony nad swoim sygnalizatorem. Buczek był głośny i wyraźny.

- Tędy! - wskazał. - Prosto do miasta!

Samochód prowadził Nolula. MacKenzie patrzył na sygnalizator.

- Co to właściwie jest? Jak to działa?

- To jest sygnalizator kierunku i nadajnik alarmowy - wyjaśniał Bob, a buczenie się wzmagalo. - Nadaje i odbiera. Teraz odbiera sygnał Jupe'a i dlatego buczy. Sygnał jest tym głośniejszy i tym większą ma częstotliwość, im bliżej jest aparat nadający. Strzałka na tarczy wskazuje kierunek, z którego dochodzi sygnał. Urządzenie to działa również jako sygnał alarmowy. Na słowną komendę włącza się czerwone, pulsujące światło. Nasz sygnał się zapala, bo Jupe powiedział...

- Nie mów tego! - wrzasnął Pete. - Uruchomisz sygnał Jupe'a!

Bob przełknął ślinę.

- Słusznie. Jupe zdołał wypowiedzieć "na pomoc" prawie wprost do aparatu, dlatego ten się zapalił.

- Adam, skręć w prawo! - krzyknął Pete. - Buczek jest coraz głośniejszy. Porywacze musieli się tu gdzieś zatrzymać.

MacKenzie zmarszczył czoło.

- Każdy aparat jest zarówno nadajnikiem, jak i odbiornikiem. Jupiter ma przy sobie

jeden, w samochodzie porywaczy. Co się stanie, jeśli niechcący uruchomimy jego sygnał?

- Jestem pewien, że jego buczonek został wyłączony - odparł Bob. - Prawdopodobnie ukrył swój sygnalizator w kieszeni, żeby w razie czego porywacze nie zauważyli czerwonego światła.

- Mam nadzieję, że ukrył go dobrze, gdyż podjął bardzo ryzykowną akcję - powiedział MacKenzie. - Gdyby ci ludzie przyłapali go na nadawaniu sygnału, wiedzieliby od razu, który z nich jest Ianem.

Bob zbladł.

- Pospiesz się, Adam.

Niebieski lincoln porywaczy wjechał do samoobsługowej stacji benzynowej. Jupiter i Ian zostali na tylnym siedzeniu z Waltem, a Fred wysiadł napełnić bak. Nikt do nich nie podszedł.

- Dla was obu będzie lepiej, jeśli powiecie, który jest Ianem Carewem - powiedział Walt.

- Wkrótce przybędzie pomoc - odparł Jupiter. - Wiem, że przybędzie.

- Tak - potwierdził Ian. - Nasi przyjaciele wyślą nam kogoś na pomoc.

- Pomoc może przyjść za późno - warknął Walt. - Jeśli w tej chwili Jones wysiądzie z samochodu, damy mu odejść. Ale jeśli zidentyfikujemy go później... no cóż, może trzeba go będzie zlikwidować!

- Nie wierzę temu - powiedział Ian.

- Ja również - przytaknął Jupiter. - Pomoc nadejdzie lada chwila!

- Nie bądź głupi, Jones - Walt patrzył to na jednego chłopca, to na drugiego. - To nie jest twoja sprawa. Nie musisz się niepokoić o Iana, nie skrzywdzimy go. Jest nam potrzebny z ważnych powodów. Nie chcemy, żeby mu się cokolwiek stało.

- Jak długo będzie wam potrzebny? - spytał Jupiter.

- Skoro musimy wziąć was obu... - Walt był znowu opryskliwy - kto wie, co stanie się z Jonesem!

Chłopcy zbledli, ale żaden z nich się nie odezwał. Fred wsiadł z powrotem do samochodu.

- Dobra, Walt, daliśmy im szansę. Teraz rozwiążemy problem na swój sposób. Ci chłopcy nie są tak mądzy, jak mi się wydaje!

Nolula jechał ulicami Rocky Beach jak mógł najszybciej. Pete siedział obok niego,



patrząc na strzałkę sygnalizatora. Bob i MacKenzie również ją obserwowali, wychyleni z tylnego siedzenia. Nagle buczonek zaczął zwalniać częstotliwość i cichnąć!

- Skręć w prawo! - krzyknął Pete, gdy wskazówka zwróciła się gwałtownie w stronę oceanu.

Nolula skręcił w następną przecnicę. Była to szeroka, główna ulica, która prowadziła do zatoki i była o tej wczesnej godzinie zatłoczona samochodami. Buczonek zwalniał coraz bardziej i stawał się coraz słabszy!

- Znowu skręcili na południe! - krzyknął Pete.

- Pete! Musieli pojechać na autostradę! - zawołał Bob. - Strzałka wskazuje południowy wschód, jadą do Los Angeles!

- Chyba... masz rację, Bob - jęknął Pete.

- Jak daleko stąd do autostrady? - zapytał MacKenzie.

- Co najmniej dwa kilometry - odpowiedział Bob.

Nolula potrząsnął głową.

- Nie mogę jechać szybciej w tym tłoku.

- Na autostradzie będą mieli szybkość czterokrotnie większą od naszej - powiedział MacKenzie. - Jaki zasięg mają wasze aparaty, chłopcy?

- Tylko około pięciu kilometrów - odpowiedział Bob. Siedząc bezsilnie w wolno posuwającym się cadillacu, patrzyli na strzałkę, która zaczęła się słabo wahać i wsłuchiwali się w z wolna milknący buczonek. Wreszcie strzałka obsunęła się martwo na jałowy punkt, buczonek ustał, a czerwone światelko zgasło.

- Uciekli nam - powiedział MacKenzie. - Na autostradzie nie zdołamy ich dogonić. Nie wiemy nawet, jak wygląda ich samochód. Czas pojechać na policję.

Ian i Jupiter przysunęli się do siebie na tylnym siedzeniu lincolna. Walt siedział w drugim rogu, z pistoletem opuszczonym na kolana i zamkniętymi oczami.

- Musisz im powiedzieć - szepnął Ian do ucha Jupitera. - Dadzą ci odejść.

- Nie dadzą - odszepnął Jupe. - Jestem bezpieczny, póki nie wiedzą, który z nas jest kim. Nie zrobią krzywdy Ianowi Carewowi, w każdym razie, jeszcze nie, ale niepotrzebny im jest Jupiter Jones, który w dodatku za dużo o nich wie.

Walt otworzył jedno oko.

- Zamknąć się, wy dwaj! Mielicie okazję gadać przedtem. Niedługo jednego z was się pozbędziemy.

Zamknął z powrotem oko i zaśmiał się upiornie. Lincoln mknął wśród słonecznego

ranka ku niewiadomemu.

## Rozdział 17

### Pete stawia zarzut

Pete, Bob i dwaj Nandyjczycy siedzieli na długiej ławie na komisariacie policji. Przyszli także ciocia Matylda i wujek Tytus. Po wysłuchaniu całej historii zapalczywa zwykle ciocia Matylda zachowała się zadziwiająco spokojnie.

- Ten drugi chłopiec, panie Nolula, ten Ian Carew jest ważny dla pańskiego kraju? Dla jego przyszłości i niepodległości? - zapytała.

- Tak, proszę pani, bardzo ważny. Jego ojciec jest naszą jedyną nadzieją na uzyskanie niepodległości bez wojny domowej. Na rządy większości i spokojną przyszłość. Porywacze zamierzają poprzez Iana wyrzucić presję na sir Rogera, zmusić go do zrobienia tego, co oni chcą. Dlatego musimy uratować Iana.

- I Jupiter z przyjaciółmi pomagali wam znaleźć Iana?

- Niestety, tak - powiedział MacKenzie.

- Chłopcy zrobili to, co powinni - oświadczyła ciocia Matylda. - Cieszę się, że starali się wam pomóc. Teraz musimy odzyskać obu chłopców, całych i zdrowych.

Komendant Reynolds podszedł do nich poważny i zaniepokojony.

- Zaalarmowałem policję w Los Angeles, ale nie wiem, co zdołają zdziałać. Nie mamy numeru rejestracyjnego samochodu ani jego opisu. Jedyne, co mogą zrobić, to rozesłać rysopis porywaczy do wszystkich patrolujących samochodów.

- Znowu? - warknęła ciocia Matylda. - Zdaje mi się, że już to zrobili i niczego nie wskórali. Porywacze wrócili tutaj pod nosem policji!

- Zazwyczaj nie wracają w to samo miejsce, proszę pani. Nie mieliśmy powodu tego się spodziewać.

- Owszem, mieliście. Jupiter mówił panu, że to nie są zwykli porywacze! Trzeba go było słuchać!

- Tak, ma pani rację - przyznał komendant. - Teraz policja Los Angeles wysłała wszystkich swoich ludzi na poszukiwanie porywaczy i dwóch chłopców. Nie będą jednak mogli przystąpić do akcji od razu po tym, jak ich zlokalizują.

- Dlaczego, komendancie? - zapytał wujek Tytus.

- Ponieważ Jupiter i Ian są zakładnikami, a porywacze mają broń. Według MacKenziego i Noluli, ci ludzie są raczej żołnierzami niż zwykłymi kryminalistami i dla osiągnięcia celu gotowi są poświęcić własne życie. Jedyne nadzieje to wytropić ich i

aresztować przez zaskoczenie, kiedy będą się tego najmniej spodziewali.

- Ale chłopcy są w ogromnym niebezpieczeństwie! - wykrzyknął wujek Tytus.

- Nie - odezwał się MacKenzie. - Nie sądzę, by im w tej chwili coś zagrażało. Porywacze muszą zapewnić Ianowi bezpieczeństwo, żeby móc go użyć przeciwko sir Rogerowi. Nie wierzę też, żeby wyrządzili krzywdę Jupiterowi. To jest akcja polityczna, a nie porwanie dla okupu, i z pewnością nie zechcą się narazić bez potrzeby rządowi amerykańskiemu. Oczywiście sytuacja może się zmienić z chwilą, gdy dotrą do Nandy.

- Musimy się więc postarać, żeby nie wrócili do Nandy - powiedział komendant Reynolds. - Żebyśmy tylko mogli się domyślić, dlaczego jadą do Los Angeles.

- Z pewnością ucieczkę mają starannie zaplanowaną - zauważył Nolula.

- Zaplanowaną dla nich dwóch i Iana! - wykrzyknął nagle Bob.

- Ale teraz mają dwóch chłopców i nie wiedzą, który z nich jest Ianem. Nie liczyli się z tym problemem i może ich to zmusić do zmiany planów! - tu zwrócił się do MacKenziego i Noluli. - Czy gdzieś w Los Angeles Ian może zostać zidentyfikowany?

- Nie wiem, Bob - odparł MacKenzie.

- W Nandzie na pewno, ale nie w Los Angeles - powiedział Nolula.

Pete był zamyślony.

- Czy w misji handlowej jest ktoś, kto zna dobrze Iana? - zapytał wreszcie. - Jakiś przyjaciel rodziny?

MacKenzie i Nolula popatrzyli na siebie zaskoczeni, jakby ta myśl nigdy nie przyszła im do głowy.

- John Kearney? - podsunął niepewnie Nolula.

- Jest starym przyjacielem sir Rogera - wyjaśnił MacKenzie. - Nie sposób, żeby chłopcy mogli jego zwieść. Tylko jak...

- Kim jest Kearney? - przerwał mu Reynolds.

- Jest dyrektorem naszej misji w Los Angeles - odpowiedział MacKenzie. - Ale John Kearney nigdy by nie pomógł ekstremistom.

- Zapewne, ale Bob ma rację - powiedział komendant. - Oni mają trudny problem, którego nie przewidzieli i który muszą rozwiązać, nim podejmą plan ucieczki. Jeśli wiedzą, że Kearney może zidentyfikować Iana, mogą z powodzeniem zmusić go do tego wybiegiem lub groźbą. Trzeba go natychmiast ostrzec.

- Więc zatelefonuję do niego - powiedział MacKenzie. - Ci porywacze jakąś drogą dowiadują się, co dzieje się w misji. Jeśli nie spodziewają się, że policja wie o Kearneyu, może zdołamy ich złapać w pułapkę.

- Proszę zadzwonić z mojego telefonu.

MacKenzie poszedł do biura Reynoldsa, a pozostali czekali niecierpliwie. Ciocia Matylda chodziła nerwowo tam i z powrotem.

- Jak pan myśli, co porywacze zrobią, jeśli się nie dowiedzą, który z chłopców jest Ianem? - zapytała Noluli.

- Obawiam się, że będą usiłowali zabrać obu do Nandy.

- Do Afryki?! - wykrzyknęła ciocia Matylda. - Bandyci!

Wrócił MacKenzie.

- Kearneya nie ma w biurze. Miał uczestniczyć w różnych spotkaniach z okazji wystawy sztuki ludowej w rejonie Hollywoodu. W misji nie wiedzą dokładnie gdzie. Nie powiedziałem, dlaczego telefonuję. Myślę, że powinniśmy natychmiast jechać do Los Angeles.

- Słusznie! - zgodził się Nolula. - Jeśli porywacze istotnie zamierzają zobaczyć się z Kearneyem i dotąd tego nie zrobili, pójdą do misji i tam ich złapiemy!

- Zawiadomię przez radio policję Los Angeles, żeby wzięli misję pod obserwację. Ten pan może wrócić, nim tam dojedziemy - powiedział komendant Reynolds. - Ostrzegą go i będą mieli oko na porywaczy.

Jupiter i Ian siedzieli w małym pomieszczeniu bez okien, ciemnym choć oko wykol. Byli sami. Kilka godzin temu porywacze wyciągnęli ich z lincolna i pognali do małego domu na wzgórzu, stojącego wśród bujnej roślinności. Mimo że oczy przywykły im już do ciemności, nic nie byli w stanie zobaczyć.

- Gdzie jesteśmy, Jupiterze? - zapytał Ian.

- Myślę, że gdzieś na wzgórzach Hollywoodu, w czyjejsz spizarni albo piwnicy, gdzie się przechowuje wino.

Kiedy ich tu zamykano, Jupiter przelotnym spojrzeniem obrzucił to miejsce. Związano ich obu dla pewności, ale Jupiter wiedział, że i tak nie mogliby się stąd wydostać.

- Jak myślisz, co zamierzają z nami zrobić?

- Bez wątplenia mają plan wywiezienia cię ukradkiem z kraju i powrotu do Nandy, ale na co tu czekamy, nie wiem. Chyba że...

- Chyba że co, Jupiterze?

- Chyba że czekamy na kogoś, kto może cię zidentyfikować - powiedział Jupiter cicho.

- Tak, myślałem o tym. Wówczas nie będą potrzebowali nas obu. Zastanawiam się, co wtedy zrobią z tobą.

- Ja również się nad tym zastanawiałem - odparł Jupiter smutno.

Było upalne południe, gdy komendant Reynolds wjechał na parking przy budynku biurowym na Bulwarze Wilshire. Nolula zaparkował obok czarnego cadillaca. Do komendanta podszedł spieszenie oficer policji Los Angeles.

- Pan Kearney jeszcze nie wrócił i żadni podejrzani osobnicy nie wchodzili do misji handlowej. Nasz człowiek stoi na czatach na górze.

- Porywaczy tu nie ma, komendancie - powiedział Pete. - Nie odbieram żadnego sygnału w moim aparacie.

- Może w misji dostali jakąś wiadomość od Kearneya - podsunął Nolula.

- Zapytamy - powiedział MacKenzie. - Ale myślę, że komendant powinien zostać tutaj. Nie trzeba ujawniać, że misja jest pod obserwacją policji.

Chłopcy wraz z Nandyjczykami weszli do budynku i wjechali windą na trzecie piętro do biur misji. Urzędniczka w recepcji przywitała się z MacKenziem i Nolulą. Potrząsnęła głową. Nie miała wiadomości od pana Kearneya.

- Cały dzień spędza wraz ze swoją asystentką, panną Lessing, na spotkaniach związanych ze sztuką ludową - wyjaśniała. - Panna Lessing mówiła, że nie zostanie tam do końca dnia. Jeśli wróci wcześniej do biura, może będzie mogła wam powiedzieć dokładnie, gdzie jest pan Kearney. Doprawdy chciałabym, żeby już wróciła. Całe rano były telefony do niej i pana Kearneya, a ja nie mogę sobie z nimi poradzić.

Zanosilo się na to, że recepcjonistka zacznie wyliczać całą listę swoich kłopotów, ale na szczęście zadzwonił na jej biurku telefon. Odebrała go, a jej goście wymknęli się z pokoju.

- To właśnie jest źródło przecieku informacji! - wykrzyknął Pete. - Założę się, że jak wystarczająco długo postoisz przy jej biurku, opowie ci wszystko o wszystkim!

- Możliwe - roześmiał się MacKenzie. - Rzeczywiście lubi pogawędzić. Niestety, nie może nam powiedzieć jedynej rzeczy, którą chcemy wiedzieć: gdzie jest Kearney.

- Co znaczy, że nie może tego także powiedzieć porywaczom - zauważył Nolula.

- Co robimy dalej? - zapytał Bob, gdy zjeżdżali windą w dół.

- Będziemy czekać w nadziei, że ktoś się zjawi. Albo porywacze, albo panna Lessing - odpowiedział MacKenzie. - Nic innego nie potrafię wymyślić.

Dwaj detektywi, Nandyjczycy i kilku policjantów spędzili na parkingu parę upalnych, denerwujących godzin. Nie odrywali oczu od sygnalizatora Pete'a, ale nie odbierał on żadnego sygnału.

- To okropne! - jęczał Pete coraz bardziej zaniepokojony. - Do tej pory z Juve'em i Ianem mogło się już stać coś strasznego. Skąd wiemy, czy porywacze nie znaleźli kogoś

innego, kto rozpoznał Iana?

- Tego nie możemy wiedzieć - odpowiedział ponuro Nolula. - Misja handlowa jest jednak jedynym miejscem, gdzie możemy liczyć na złapanie jakiegoś kontaktu z porywaczami, więc musimy tu zostać.

W końcu agent policji, który prowadził obserwacje z budynku biura misji, wezwał przez walkie-talkie komendanta Reynoldsa.

- Ciemnowłosa kobieta właśnie weszła do biura. Zdaje się, że tu pracuje. Czy jest to ktoś, kogo szukacie?

- Panna Lessing! - wykrzyknął MacKenzie. - Może to ona! Wracamy na górę!

Gdy Pete, Bob i Nandyjczycy weszli, recepcjonistka podniosła głowę z uśmiechem.

- Dzień dobry, po raz wtóry. Od pana Kearneya nie było wiadomości, ale wróciła panna Lessing. Chcecie się z nią widzieć? Jest w biurze pana Kearneya.

Gdy zbliżali się do drzwi biura, Pete przystanął nagle, nasłuchując.

- O co chodzi, Pete? - zapytał Bob.

- Chyba słyszałem rozmowę w tym pokoju. Może panna Lessing jest zajęta.

Nolula wytężył słuch.

- Nic nie słyszę, Pete.

- Nie, może mi się zdawało.

Zapukali i weszli. Panna Lessing stała przy biurku, przeglądając jakieś papiery. Nosila zieloną bluzkę i te same szare spodnie, które miała na sobie w hotelu w Rocky Beach. Twarz jej rozjaśniła się na ich widok.

- Czy znaleźliście Iana?

- Znaleźliśmy i straciliśmy go ponownie z oczu - powiedział MacKenzie z goryczą.

- Straciliście? - panna Lessing powolnym gestem sięgnęła po leżący na biurku koleczyk i założyła go.

- Czy przebywała pani cały czas z panem Kearneyem? - zapytał Nolula.

Skinęła głową.

- Czy ktoś go pytał o Iana?

- Nie, nikt. Dlaczego?

- Porywacze go ujęli - wyjaśnił MacKenzie. - Myślimy, że są teraz w Los Angeles i szukają pana Kearneya, żeby...

- Tak, oczywiście! - wpadła mu w słowa panna Lessing. - Pan Kearney może zidentyfikować Iana. Jego nie zwiodą. Musicie go natychmiast ostrzec.

- Gdzie możemy go znaleźć? - zapytał MacKenzie.

Panna Lessing spojrzała na zegarek.

- Teraz musi być albo w cechu rękodzieł importowanych, albo sztuki afrykańskiej. Tam miał dwa ostatnie spotkania. Musi je zakończyć przed piątą.

- To pozostawia nam półtorej godziny, żeby dotrzeć do obu miejsc - powiedział Nolula. - Możemy się rozdzielić.

- Pospieszmy się! - naglił Bob.

Panna Lessing zapisała im oba adresy i poszli spiesznie do windy. Gdy tylko drzwi windy zamknęły się za nimi, Pete wykrzyknął:

- Słuchajcie! Ona kłamie! Posłała nas szukać wiatru w polu!



## Rozdział 18

### Nieoczekiwany przeciwnik

- Co ty mówisz, Pete! - wykrzyknął Bob.

- Skąd możesz to wiedzieć? - zapytał Noluta opryskliwie.

- Musisz się mylić, Pete - powiedział MacKenzie. - Pracuję z Anną Lessing od lat!

- Nie, nie myślę się - obstawał przy swoim Pete. - Powiedziała, że pan Kearney może zidentyfikować Iana i jego nie zwiodą. MacKenzie nie pojmował.

- Ależ to wszystko prawda. Sami wam o tym powiedzieliśmy.

- Aha - przytaknął Pete. - Ale myśmy wcale nie powiedzieli panie Lessing, że jest jakiś problem z identyfikacją Iana! Nie mówiliśmy jej, że porywacze przetrzymują dwóch chłopców! Więc skąd ona wie, że wystrychnięto porywaczy na dudka i potrzebują kogoś do identyfikacji Iana?

Nikt mu nie odpowiedział. Winda zatrzymała się na parterze i wysiedli. Wreszcie odezwał się Noluta.

- On ma rację. Powiedzieliśmy jej tylko, że porywacze mają Iana i są prawdopodobnie w Los Angeles. Telefonując do misji ani Gordon, ani komendant Reynolds nie wspomnieli o dwóch chłopcach.

MacKenzie skinął głową.

- Poza Rocky Beach tylko policja Los Angeles wie, że porwano dwóch chłopców, a oni nie rozmawiali z nikim z misji.

- Wie o tym tylko policja i porywacze - powiedział Pete. - To znaczy, że panna Lessing musiała się widzieć z porywaczami dzisiaj, tu, w Los Angeles!

- Ale ona przez cały dzień towarzyszyła panu Kearneyowi - oponował Noluta.

- Przynajmniej tak mówi - odpowiedział Pete.

- Pan Kearney może stwierdzić, gdzie była. Wątpię, żeby kłamała.

- Czekać! - wykrzyknął Bob. - Nim weszliśmy do biura pana Kearneya, Pete usłyszał rozmowę. Myśleliśmy, że mu się zdawało, bo panna Lessing była w pokoju sama. Ale wzięła z biurka kolczyk i założyła na ucho. Pamiętam, jak Jupe zauważył kiedyś, że kobiety często zdejmują jeden kolczyk, gdy rozmawiają przez telefon z porywaczami! Pamiętacie, recepcjonistka mówiła, że było mnóstwo telefonów do panny Lessing? Założę się, że porywacze wydzwaniali do niej cały dzień!

- Mac, powiedziałaś, że pracowałaś z nią od lat. Czy to znaczy, że ona również

pracowała z sir Rogerem? - zapytał Pete. - Czy zna Iana na tyle dobrze, żeby go bez wątpliwości zidentyfikować?

- Nie jestem pewien - MacKenzie zmarszczył czoło. - Pracowała od lat w zespole sir Rogera, ale nie jest przyjacielem rodziny jak Kearney. Mimo to może wiedzieć o czymś; co odróżnia Iana od Jupitera. Na Boga, ona mogła z łatwością przechwycić pierwszą wiadomość Iana!

Pobiegli szybko na parking podzielić się swoim odkryciem z komendantem Reynoldsem.

- Wtyczka ekstremistów w misji handlowej! - pienieł się Nolula. - Skonfrontujemy ją! Zmusimy do powiedzenia...

- Nie - powstrzymał go komendant Reynolds. - Jeśli współpracuje z ekstremistami, nie powie nam niczego. Ale skoro zadała sobie trud wysłania was jak najdalej, prawdopodobnie zamierza się spotkać ze swymi wspólnikami. Zaprowadzi nas do nich!

- Jeśli będzie pewna, że szukamy pana Kearneya - powiedział Pete.

- Tak - zgodził się komendant. - Poproszę, żeby policjanci Los Angeles pozostali na miejscu. My wszyscy odjedziemy moim samochodem tak, żeby widziała, że opuszczamy to miejsce. Potem wrócimy dyskretnie, wsiądziemy do cadillaca i pojedziemy za nią. Jeśli zobaczy, że odjeżdżamy samochodem policyjnym, wątpię, żeby zwróciła uwagę na jadącego za nią cadillaca.

Wszystko odbyło się według planu komendanta. Piętnaście minut później Anna Lessing wyszła z budynku i wsiadła do czerwonego pontiaca. Czarny cadillac ruszył za nią w bezpiecznej odległości.

W domu na wzgórzu Jupiter i Ian siedzieli w ciemnościach oparci o ścianę. Minęło już wiele godzin.

- Twoi przyjaciele nie znajdą nas - powiedział Ian. - Już nie.

- Znajdą! Wiem, że znajdą!

Nagle rozbłysło światło, oślepiając ich zupełnie. Potem zobaczyli porywaczy. Gruby Walt podszedł do Jupitera i jednym szarpnięciem otworzył mu koszulę. Odwrócił się do Iana i rozdarł jego koszulę.

- No - powiedział - zabawa skończona!

Jupiter popatrzył na Iana. Nisko, na jego brzuchu była mała, zakrzywiona blizna. Jupe nie miał takiej blizny.

- Następnym przystanek Nanda - zaśmiał się Fred.

Czerwony pontiac skręcił na podjazd małego domu, stojącego na stromym zboczu jednego ze wzgórz Hollywoodu. Anna Lessing wysiadła i wbiegła szybko po kilku stopniach. Cadillac zatrzymał się cicho przy krawężniku o dwa domy dalej. Pete pochylił się nad sygnalizatorem.

- Nic - powiedział z rozczarowaniem. - Albo ich tu nie ma, albo porywacze znaleźli aparat Jupe'a i wyłączyli go.

- Może się mylimy, chłopcy? - powiedział Nolula.

- Nie, jestem przekonany, że ona trzyma z nimi! - upierał się Pete.

- Ja również - powiedział MacKenzie. - Chodźmy zobaczyć, co jest w tym domu.

Wysiedli z samochodu i pobiegli cicho do małego domu. Był otoczony dżunglą wysokich drzew, winorośli i krzewów. Podśluchiwali pod drzwiami, ale z wewnątrz dobiegał tylko stukot obcasów Anny Lessing po drewnianej podłodze. MacKenzie nacisnął dzwonek. Anna Lessing otworzyła drzwi i rozdziawiła usta ze zdumienia.

- Co tu robicie, do diabła! - warknęła, po czym uśmiechnęła się niepewnie. Cofnęła się i gestem zaprosiła ich do skąpo umeblowanego salonu. - Czy odnaleźliście pana Kearneya? Czy porywacze byli u niego?

- Nie szukaliśmy go - powiedział Nolula.

- Nie sądzimy, żeby porywacze go szukali - dodał MacKenzie.

- Musimy panią uprzedzić, że może pani zachować milczenie, ale jeśli będzie pani mówić, wszystko, co pani powie, może być użyte przeciw pani w sądzie - wyrecytował komendant Reynolds.

- Gdzie oni są?! - krzyknął Pete. - Gdzie jest Ian i Jupiter?!

- Wiemy, że rozmawiała pani z porywaczami - powiedział Bob ostro. - Gdzie są? Co zrobili z Jupiterem i Ianem?

Anna Lessing podniosła rękę w geście protestu.

- Nie wiem, o czym mówicie. Kto to jest Jupiter? Nie znam żadnego Jupitera. Skąd miałabym wiedzieć, gdzie jest Ian? Czy nie znaleźliście Kearneya?

- Pani wie, kim jest Jupiter Jones - powiedział MacKenzie. - I wie pani dokładnie, co się stało z Ianem, ponieważ jest pani współniczką porywaczy!

- Wspólniczką? - wytrzeszczyła oczy. - Ja? Chce pan powiedzieć, że mogłabym wyrządzić krzywdę Ianowi Carewowi? Ja? Pozostaję w przyjaźni z tą rodziną od lat!

- Myślę, że pani kłamie, panno Lessing - powiedział Nolula spokojnie. - Komendancie, niech się pan lepiej rozejrzy po tym domu.

- Jeśli macie nakaz rewizji! - wyrwało się jej. - Nie, przepraszam, nie mam nic do

ukrycia. Oglądajcie, co chcecie. Pozwalam wam! Rani mnie pan głęboko, panie MacKenzie.

- Czy ja również panią ranie? - zapytał Nolula.

- Ty! - Twarz jej wykrzywiła się na moment obrzydzeniem, po czym uśmiechnęła się.

- Och, oczywiście, panie Nolula. Pan także mnie rani.

- Przeszukać dom - polecił policjantom komendant Reynolds.

Po czym wyszedł wraz z Bobem, Pete'em i Nolula. W salonie został MacKenzie z panną Lessing.

- Pożałuje pan tego, MacKenzie - powiedziała. - Nic mi nie wiadomo ani o porywaczach, ani o tych dwóch chłopcach.

- Skąd pani wie, że jest dwóch chłopców?

- Właśnie powiedzieliście mi, że jest drugi chłopiec o imieniu Jupiter Jones.

- Nie, nikt nie powiedział, że Jupiter jest chłopcem. Gdyby pani istotnie o nim nie wiedziała, mogłaby sądzić, że chodzi o dorosłego mężczyznę. To pani drugie potknięcie. Już w misji, nim zdążyliśmy w ogóle napomknąć o Jupiterze, wiedziała pani, że chłopców jest dwóch. Czy to pani zidentyfikowała Iana dla ekstremistów?

- Nie mam panu nic więcej do powiedzenia!

Bob i Nolula wrócili do salonu z sąsiedniego pokoju. Pete i komendant nadeszli z dalszych pomieszczeń domu. Bob stanął przed Anną Lessing.

- Myślę, że czas na jakieś wyjaśnienia, proszę pani.

- Czy nawet dzieci muszą mi zawracać głowę? - zwróciła się do MacKenziego.

- Wie pani - mówił Bob dalej - nasz przyjaciel Jupiter zawsze nam powtarza, żeby zwracać uwagę na małe rzeczy. Mówi, że zwyczajnie ludzie zawsze ich zdradzają. Pani jest Nandyjką, prawda? Założę się, że lubi pani rodzimą biżuterię.

- O czym ten chłopiec plecie? Ostrzegam pana, MacKenzie...

Bob wyciągnął do niej otwartą dłoń. Leżał na niej mały kiel z kości słoniowej, oprawiony w złoto, zawieszony na haczyku.

- Znalazłem to w pani sypialni. To kolczyk z Nandy, prawda? W pani pokoju był tylko jeden. To dlatego, że drugi pani zgubiła. Wiem o tym, ponieważ znaleźliśmy go w kanionie, w którym wylądował helikopter. Przyleciał, żeby zabrać porywaczy.

Anna Lessing wpatrywała się w małe kiel i pobladała.

- Jupiter mówi, że kobiety prawie nigdy nie wyrzucają ulubionego kolczyka, kiedy zgubią drugi z tej pary - ciągnął Bob. - Pani także ma ten zwyczaj. A my dzięki temu mamy dowód, że należy pani do wrogów sir Rogera. Poza nami i policją, w tym kanionie było tylko troje ludzi: dwóch porywaczy i pilot helikoptera. To pani była pilotem!

## Rozdział 19

### Czy wróg będzie się śmiał ostatni?

- O rany, to mogła być ona w tych goglach i kombinezonie lotniczym! - wykrzyknął Pete.

- Mam nadzieję, że ustalimy, czy była pilotem - powiedział komendant Reynolds.

- Ludzie wynajmujący helikopter mogą rozpoznać jej głos - zauważył MacKenzie.

Anna Lessing wpatrywała się w nich szeroko otwartymi oczami. Jej twarz wyrażała nienawiść i gniew. Wtem roześmiała się.

- A więc tak, przyznaję się! Ja pilotowałam helikopter i uczestniczę w całej tej akcji. Byłam zawsze i jestem patriotką, obrończynią bezpiecznej, wolnej i cywilizowanej Nandy!

- Wolnej dla kogo, panno Lessing? - zapytał Nolula cicho.

- Nie dla ciebie! - krzyknęła zapalczywie. - Nanda należy do białych, którzy ją założyli, zbudowali i mieszkają w niej od dwustu lat!

- My mieszkamy w niej od dwóch tysięcy lat - powiedział czarny Nandyjczyk. - Zbudowaliście ją dzięki naszej pracy, robiąc z nas niewolników na naszej własnej ziemi. Damy wam na niej miejsce i będziemy pracować wspólnie, ale to jest nasz kraj.

- Nigdy! - warknęła. - Uczyniliśmy Nandę naszą, teraz do nas należy i ją zatrzymamy!

- Wasza polityka jest waszą sprawą - wmieszał się komendant Reynolds. - Możecie uzgadniać wasze poglądy w Nandzie. Ale tu są Stany Zjednoczone, na których terytorium porwano dwóch chłopców. Porywacze przebywali w tym domu, prawda? Gdzie są teraz? Gdzie jest Ian i Jupiter?

- Tak, Walt i Fred byli tutaj - Anna Lessing roześmiała się - ale już wyjechali! Przyszliście za późno!

- Dokąd pojechali? - zapytał MacKenzie.

- Ode mnie nie dowiedzie się tego nigdy, Ian jest w naszych rękach i sir Roger będzie musiał zrobić to, czego my chcemy.

- Nie, panno Lessing, nie robi, czego chcecie - powiedział MacKenzie. - Będzie wypełniał swój obowiązek wobec przyszłości Nandy, żebyście nie wiem jak mu grozili. To, czego chcecie, prowadzi do krwawej wojny domowej i sir Roger nigdy do tego nie dopuści.

- Czy pan myśli, że dla bandy niecywilizowanych czarnuchów będzie ryzykował życie własnego syna?

- Tak - odparł Nolula.

- Nigdy! Będzie zmuszony zacząć myśleć rozsądnie i zdać sobie sprawę, że jest białym, a więc jednym z nas.

- Nie wiem, co się stanie w Nandzie - odezwał się komendant Reynolds - ale wiem, że pani tego nie zobaczy, jeśli nie zacznie pani z nami współpracować. Dużo korzystniej będzie dla pani dopomóc nam w odzyskaniu chłopców.

- Jestem żołnierzem walczącej o wolność armii, a nie porywaczem! To jest akcja polityczna i za żadną cenę nie dopomogę wam w schwytaniu Freda i Walta! Nie ma mowy, żeby udało się wam odbić Iana czy tego głupca, Jonesa!

Śmiała im się w twarz. Nandyjczycy, komendant i Pete patrzyli po sobie z przerażeniem. Skoro ona nie zechce nic im powiedzieć, jak uratują Iana i Jupitera? Tylko Bob wydawał się niewzruszony. Patrzył na Annę Lessing z namysłem.

- Porywaczy nie było już tutaj, kiedy panna Lessing wróciła do domu - powiedział z wolna. - Musiała im zatem przez telefon powiedzieć, jak rozpoznać Iana!

- Naturalnie, powiedziałam im - zaśmiała się Anna Lessing. - Chodziło o małą bliźnię, Ianowi usunięto parę lat temu ślepą kiszkę.

- Po co więc tak się tu spieszyła? - ciągnął Bob. - Przekazała im informację umożliwiającą stwierdzenie, który z chłopców jest Ianem, a teraz oni realizują swój plan ucieczki. Dlaczego więc panna Lessing wyszła wcześniej z pracy i przyjechała do tego domu?

- Bob ma rację! - wykrzyknął komendant Reynolds. - Nie było potrzeby przyjeżdżać tu w ogóle.

- To mój dom - warknęła panna Lessing. - Dlaczego nie miałabym wrócić do domu?

- Tak, ale dlaczego wróciła tu pani w takim pośpiechu? - powiedział Bob. - Według mnie jest na to pytanie tylko jedna odpowiedź: porywacze zostawili tu coś, czego należy pilnować. Coś albo kogoś. Na przykład Jupitera!

- Jupitera? - komendant uniósł brwi.

- Tak! - wykrzyknął Nolula. - Po co by mieli zabierać obu chłopców do Nandy, skoro wiedzą, który z nich jest Ianem! Wożenie dwóch chłopców zwiększyłoby ryzyko.

- Jupe musi tu gdzieś być! - zawołał Pete.

- Przeszukajmy jeszcze raz dom! - polecił komendant Reynolds.

Nolula został z panną Lessing, a pozostali rozbiegli się po małym domu. Przeszukanie wszystkich pokoi i szaf ściennych nie zajęło wiele czasu. Nigdzie nie było ani śladu Jupitera.

- Spróbujmy na zewnątrz - powiedział MacKenzie. - W garażu, w jakimś składziku.

Anna Lessing patrzyła z uśmiechem, gdy wybiegali na dwór. Przy domu była mała komórka i garaż. W komórce znaleźli tylko narzędzia ogrodnicze, a w garażu absolutnie nic.

Pete wspiął się na zbocze wzgórza za domem, ale przyszedł z niczym.

Wrócili do domu, gdzie Anna Lessing przywitała ich sarkastycznie.

- Mówiłam, że ich nigdy nie znajdziecie. Przyznaj, MacKenzie, zostaliście przez nas pobici! Przegracie także w Nandzie, przegra sir Roger i reszta was - słabeuszy!

- Przeszukać dom raz jeszcze! - zakomenderował Reynolds.

We wnętrzu domu zaczynało się ściemniać. Bujna roślinność odcinała dostęp popołudniowego słońca. Żeby zajrzeć pod łóżka i do ciemnych szaf, poszukujący włączyli światło.

- Komendancie! - krzyknął Pete.

Gdy tylko przekręcili kontakt, żarówki zaczęły migać!

- Co to? Zakłócenia w dostawie prądu? - zapytał Nolula.

Światło znowu zamrugało. Zapalało się i gasło.

- Nie - powiedział Bob z namysłem - pogoda jest idealna. Nie było burzy, nie jest też na tyle gorąco, żeby doszło do przegrzania przewodów.

Światło wciąż zapalało się i gasło w krótkich, nieregularnych odstępach.

- To chyba ktoś robi umyślnie - zauważył MacKenzie. - Chyba ktoś się bawi głównym przełącznikiem czy bezpiecznikami albo...

- Jupiter! - krzyknął Pete. - Założę się, że to Jupe daje nam sygnał! On jest gdzieś tutaj!

- Ale gdzie? - zapytał komendant. - Szukaliśmy już wszędzie!

- Patrzcie na nią! - wskazał Bob. - Ona wie!

Anna Lessing już się nie uśmiechała.

- Komendancie - powiedział Pete - ten dom zbudowano na stromym stoku. Tył wchodzi w zbocze, ale front wznosi się na podmurówce. Pod domem jest wolna przestrzeń, może znajduje się tam jakaś ukryta piwnica!

Wybiegł z domu i po paru minutach wrócił.

- Cały dom stoi na wzniesionych, cementowych fundamentach, ale nie ma od zewnątrz drzwi do piwnicy - zrelacjonował.

- Więc muszą być wewnątrz - powiedział Bob.

- Ściągnijcie wszystkie dywany - polecił Reynolds. - Zajrzyjcie jeszcze raz pod łóżka. Sprawdźcie w szafach ściennych.

Wyjaśnienie znalazł Bob w największej szafie. W jej podłodze była kłapa, pod którą ukazała się drabina, wiodąca w ciemność pod spodem.

- Tam, na ścianie jest kontakt - wskazał Pete.

Bob przekręcił kontakt i pod nimi zaczęło migotać światło. Obaj chłopcy opuścili się szybko po drabinie do małego pozbawionego okien pomieszczenia. Zobaczyli butelki wina, spiętrzone jedne na drugich, meble i...

- Jupe! - wykrzyknęli równocześnie.

Zażywny przywódca detektywów siedział pod ścianą, z rękami związanymi na plecach i kneblem w ustach, i kopał główny wyłącznik w staroświeckiej skrzynce bezpieczników. Każde kopnięcie zapalało lub gasiło światło!

- Wiedzieliśmy, że to sygnał od ciebie! - puszył się Pete.

Bob usunął szybko knebel i rozwiązał ręce Jupitera.

- No wreszcie - zaczął gderać Pierwszy Detektyw. - Od godziny was słyszę z góry. Myślałem, że nigdy się nie domyślicie, że tu jestem!

- O rany, Jupe, myśleliśmy... - zaczął Pete, spuściwszy z tonu.

- Jeśli myślisz, że ty byś potrafił lepiej, możesz... - zaperzył się Bob.

Jupiter uśmiechnął się szeroko.

- Świetna robota, chłopaki! Opowiedzcie mi, jak trafiliście tutaj!

Bob i Pete powtórzyli pokrótce swoje kolejne rozważania dedukcyjne, które przywiodły ich do domu Anny Lessing.

- Wspaniała praca detektywistyczna! - promieniał Jupiter. - Nie mógłbym tego wydedukować lepiej!

Uszczęśliwieni pochwałą przywódcy, Bob i Pete pomogli mu wdrapać się na górę po drabinie. Został zaraz otoczony przez Reynoldsa, MacKenziego i Nolulę, którzy poklepywali go radośnie po plecach.

- Co za szczęście widzieć cię, Jupiterze - mówił MacKenzie.

- Powinieneś być dumny z Boba i Pete'a - powiedział komendant.

- Jestem dumny - odparł Jupiter. Nagle zaczął się rozglądać.

- Gdzie jest Ian? Czy porywacze wam umknęli?

Nolula skinął głową.

- Niestety, Jupiterze.

- Znalazł się wasz mały głuptas - zaśmiała się Anna Lessing zjadliwie. - Straciliście na niego tyle czasu, że nie złapiecie już Walta i Freda! Mamy Iana Carewa i nie znajdziecie go nigdy!

Tylko Jupiter zdawał się nieporuszony słowami Anny Lessing. Uśmiechnął się.

- Och, nie byłbym tego taki pewien - powiedział.



## Rozdział 20

### Ucieczka

Komendant Reynolds wezwał policję Los Angeles i Annę Lessing aresztowano za współudział w porwaniu. Następnie, wykorzystując informacje, dostarczone przez Jupitera, komendant połączył się drogą radiową z policją w San Diego, a w chwilę później cadillac Nandyjczyków pomknął na południe, ku granicy meksykańskiej.

- A więc, młody człowieku, jak możemy udaremnić porywaczom ucieczkę wraz z Ianem? - zapytał w samochodzie.

- Nie wiem, czy to się nam uda - wyznał Jupiter. - Wierzę jednak, że mamy duże szanse. Kiedy porywacze zidentyfikowali Iana dzięki tej bliźnie, wzięli go na górę i usłyszałem, że rozmawiają przez telefon.

- Z kim, Jupe? - spytał Pete.

- Jak zrozumiałem, ze swoimi współnikami w Tijuanie w Meksyku. Donieśli im, że mają Iana, że tym razem ujęli go na dobre, i że ucieczka odbędzie się zgodnie z planem.

- Jakim? - wtrącił komendant Reynolds.

- Nie wiem. Nic nie mówili o tym planie...

- Na czym więc możemy oprzeć nadzieję, że... - zaczął MacKenzie.

- Znam jednak trzy istotne fakty - kontynuował Jupiter. - Porywacze spotykają się z kimś po meksykańskiej stronie granicy, w Tijuanie, dzisiaj dokładnie o dziesiątej wieczorem, i tam podejmą dalsze kroki. Drugi, że przekroczą granicę właśnie w Tijuanie.

- Ale kiedy? - odezwał się komendant. - Mogą przekroczyć granicę o każdej porze i czekać do dziesiątej wieczorem w Meksyku.

- To jest właśnie trzecia istotna rzecz, którą usłyszałem. Powiedzieli, że muszą załatwić coś ważnego w San Diego i zostaną tam aż do czasu spotkania. Tak więc będą przekraczać granicę na krótko przed dziesiątą!

- A my będziemy już tam na nich czekać! - wykrzyknął MacKenzie. - Brawo, Jupiterze!

- Nie musimy znać ich planu ucieczki ani wiedzieć, z kim spotykają się w Meksyku, bo zatrzymamy ich po naszej stronie granicy - powiedział Reynolds.

- Właśnie - przytaknął Jupiter.

- Jupe? - zaczął Bob z wolna. - Czy to prawdopodobne, żeby przejechali granicę uwożąc Iana w swoim samochodzie? Czy to nie będzie zbyt ryzykowne przekraczać granicę,

w sposób tak jawny? Może zrobią to w przebraniu lub jakoś ukryci?

- Jupe, on ma rację - jęknął Pete. - Muszą się domyślać, że policja ich ściga i obstawi granicę. To znaczy, muszą wiedzieć, że MacKenzie i Nolula od razu zawiadomili policję o porwaniu.

- Jeśli się przebiorą i zamaskują, to jak ich odnajdziemy? - zaniepokoił się MacKenzie.

- To nasza sprawa - powiedział komendant Reynolds. - Policjanci są szkoleni po to, by nie dać się zwieść przebraniem czy innym wybiegiem. Będziemy się tym zajmować, gdy nadejdzie właściwa pora.

Jupiter kiwnął tylko głową, pogrążony w myślach. Do San Diego dojechali krótko po dziewiątej i było już ciemno. Spotkali dwa samochody patrolowe policji San Diego i pojechali prosto do głównego przejścia granicznego.

Jupiter spojrzał na zegarek.

- Zostało nam pół godziny. Potem możemy w każdej chwili oczekiwać, że porywacze będą usiłowali przekroczyć granicę.

- W tłumie tysięcy innych osób - powiedział Pete ponuro.

Długa struga samochodów osobowych, ciężarówek i autobusów zmierzała po licznych pasach do przejścia granicznego. Każdy pas był zatłoczony pojazdami, których zderzaki niemal się dotykały.auta posuwały się wolno do punktu kontrolnego i wjeżdżały do Meksyku.

- Jak zamierza ich pan rozpoznać w tym całym tłumie, komendancie? - zapytał MacKenzie.

- Wszyscy strażnicy graniczni mają rysopis porywaczy i Iana, a także opis samochodu. Policja meksykańska również otrzymała rysopisy i jest powiadomiona o spotkaniu mającym się odbyć po meksykańskiej stronie granicy. A więc Meksykanie też będą w pogotowiu, ale przyznaję, że ich szansę na ujęcie porywaczy są niewielkie.

- Dlaczego, komendancie? - zapytał Bob.

- Ponieważ sprawdza się dokładniej ludzi wjeżdżających do Stanów niż jadących do Meksyku, więc po drugiej stronie panuje większy chaos.

- A co my robimy? - zapytał Nolula.

- Czekamy i obserwujemy rozwój sytuacji.

Zaparkowali samochód na poboczu drogi, skąd widoczne były wszystkie pasma ruchu. Przy środkowej budce granicznej stał samochód policji San Diego, drugi po przeciwnej stronie szosy.

Była już za dziesięć dziesiąta!

- Patrzenie! - wskazał MacKenzie. - Tam jest niebieski lincoln!

Ledwie mogli usiedzieć na miejscu, obserwując niebieski samochód, który centymetr za centymetrem zbliżał się do punktu kontrolnego. Strażnik zajął uważnie do samochodu. Obok niego stał w pogotowiu policjant. Potem strażnik wyprostował się i machnięciem ręki odesłał samochód na drugą stronę granicy!

- To nie byli oni - jęknął Pete.

- Albo się dobrze przebrali i ucharakteryzowali - powiedział Nolula.

- Nie sądzę, by im mogło pomóc najlepsze nawet przebranie - odparł komendant Reynolds. - Strażnicy przeszukują dokładnie każdy samochód, w którym będzie siedział chłopiec w wieku Iana. Policja szuka określonej liczby osób podróżujących wspólnie, a ich wygląd nie gra roli.

- Ale czy porywacze się z tym nie liczą? - zapytał Bob. - Czy nie wiedzą, że każdy samochód, w którym jedzie dwóch dorosłych, jeden wysoki, drugi krępy i gruby... hm, chcę powiedzieć tęgi chłopak, będzie specjalnie kontrolowany?

Jupiter skinął głową.

- Myślę, że tak. Dlatego uważam, że będą się starali przekroczyć granicę starannie w czymś ukryci. Pewnie w pojeździe, który przejeżdża przez granicę regularnie i wzbudza najmniej podejrzeń.

- Takim jak te? - wskazał MacKenzie.

Do granicy zbliżały się dwa autobusy. Przy punkcie kontrolnym zatrzymała je policja San Diego. Wszyscy w cadillacu obserwowali, jak policjanci przechodzą wolno przejściem między siedzeniami w obu autobusach. Wreszcie wysiedli i odesłali autobusy do Meksyku.

- Zdaje się, że mamy niewielkie szansę - powiedział Nolula.

- Mam... mam nadzieję, że jakieś mamy - Jupiter patrzył z niepokojem na długie linie jadących pojazdów. Była już za dwie minuty dziesiąta! Komendant Reynolds potrząsnął głową.

- Myślę, że się prześliznęli. Skontaktujmy się lepiej z policją meksykańską. Może uda im się nakryć ich na tym spotkaniu. Oni...

W cadillacu rozległo się głośne buczenie! Wszyscy podskoczyli i odwrócili głowy do Pete'a. Dźwięk dochodził z kieszeni jego koszuli!

- Mój sygnalizator! - wykrzyknął Pete.

- Wyłącz to, Pete - powiedział komendant. - Musimy...

- Nie! - przerwał mu Jupiter i uśmiechnął się. - Wyjmij go, Pete. Zobaczymy, w jakim

kierunku zwróci się wskazówka. Wszyscy niech patrzą na przejeżdżające samochody i wypatrują, czy któryś nie wygląda podejrzanie. Porywacze są blisko!

Pete badał swój sygnalizator. Strzałka wskazywała wprost na pasma ruchu. Utkwili wzrok w przesuwających się wolno pojazdach. Nie było tam jednak ani niebieskiego lincolna, ani żadnego autobusu. Tylko liczne auta osobowe i cztery lub pięć ciężarówek i furgonetek.

- Wsiadamy! - nagiął Jupiter.

Wysypali się z cadillaca i weszli między wolno przejeżdżające samochody. Po środkowym pasie toczyła się odrapana ciężarówka z meksykańskimi numerami rejestracyjnymi i hiszpańskimi napisami na burtach. Napisy informowały, że jest własnością farmy uprawiającej sałatę. Gdy podjechała do budki strażnika, strzałka sygnalizatora Pete'a wskazała dokładnie na nią.

- To oni! - krzyknął Jupiter. - Szybko!

Pobiegli do ciężarówki, z komendantem Reynoldsem na czele. Gdy do niej dopadli, strażnik podnosił plandekę platformy. Zajrzał do środka, pokręcił głową i dał znak policjantowi, żeby przepuścić ciężarówkę.

- Nie! - wrzasnął Jupiter. - Oni są w środku!

Strażnik potrząsnął głową.

- Przykro mi synu, ale w szoferce jest tylko meksykański kierowca, a tył jest pusty.

- To niemożliwe - upierał się Jupiter. - Słuchajcie! Nasz sygnał dźwięczy tak głośno jak nigdy!

Buczenie sygnalizatora górowało nad warkotem silników samochodowych. Komendant Reynolds i Nolula podnieśli ponownie plandekę. Wnętrze ciężarówki było absolutnie puste.

- Ten aparat musi źle funkcjonować - powiedział MacKenzie.

Jupiter przebiegł wzrokiem puste wnętrze. Potem obszedł ciężarówkę i studiował ją uważnie z boku. Oczy mu rozbłysły.

- Nie, Mac. Sygnalizator pracuje dobrze! Spójrz, na zewnątrz ciężarówka jest co najmniej o metr dłuższa niż wnętrze platformy. Ta ścianka w głębi jest wstawiona później, kryje schowek!

- Nie ma w niej drzwi, Jupiterze.

- Nie ma. Porywacze są sprytni. Kazali postawić tę wewnętrzną ściankę, kiedy sami już będą poza nią w środku! Po to się zatrzymali w San Diego. Rozwalmy tę ściankę!

- Ostrożnie, komendancie, oni są uzbrojeni! - ostrzegł Nolula.

Komendant i policjanci z pistoletami w rękach przyłgnęli do ścian platformy.

Reynolds zawołał:

- Wiemy, że się tam kryjecie! Jesteście otoczeni! Proszę usunąć tę ścianę i wyjść z rękami podniesionymi do góry!

Zapadła cisza, zakłócana jedynie szumem jadących samochodów i głośnym buczeniem sygnalizatora.

Potem w ciężarówce rozległ się trzask łamanego drewna. Ścianka została rozłupana. Walt i Fred wyszli zza niej potulnie z rękami uniesionymi nad głową! Walt dostrzegł Jupitera.

- Ty tutaj! Jakim cudem znaleźli cię tak szybko? Jak, u diabła, wyłuskaliście tę ciężarówkę?

- Milczeć! - warknął komendant Reynolds, odbierając im broń.

Policjant znalazł Iana związanego i zakneblowanego za maskującą schowek ścianką i uwolnił go z więzów. Ian wyszedł uśmiechnięty.

- Koledzy! Co za radość was widzieć! Jak zdołaliście mnie odnaleźć?

- Doprawdy, Jupiterze, jak się to udało? - zapytał Nolula. - Oczywiście to wasz sygnalizator nas naprowadził, ale w jaki sposób zdołaliście umieścić w tej ciężarówce ten drugi sygnalizator? Nie mogliście przecież nic z góry wiedzieć o tym aucie!

- To nie ja umieściłem sygnalizator w ciężarówce - odparł Jupiter z uśmiechem. - To oni!

- Oni?! - wykrzyknęli Bob i Pete równocześnie.

- A pamiętacie, jak jeszcze w naszej pracowni powiedziałem Fredowi, że Ian ma pluskwę w kieszeni? Sam miałem wtedy w kieszeni spodni mój sygnalizator, chciałem więc, żeby Fred obszukał najpierw Iana. Kiedy to robił, stanąłem za jego plecami tak, że odwracając się od Iana, musiał na mnie wpaść... Wtedy dla odzyskania równowagi uczepliłem się jego marynarki i wsunąłem mu sygnalizator do kieszeni! - Pulchna twarz Jupitera promieniała. - Przez cały czas sygnalizator znajdował się w kieszeni Freda. Buczek sygnalizatora był wyłączony, więc Fred nie słyszał, kiedy aparacik nadawał sygnał. Nawet gdyby zapaliło się czerwone, pulsujące światełko, też by nie zauważyli. Marynarka Freda jest uszyta z grubego materiału, a poza tym siedział sam na przednim fotelu.

Walt rzucił Fredowi piorunujące spojrzenie.

- Ty kretynie!

Fred odpowiedział z równie wściekłym spojrzeniem.

- Durniu! To wszystko był twój głupi pomysł!

- Zabierzcie ich! - powiedział komendant Reynolds z niesmakiem.

Odprowadzani przez policjantów porywacze wciąż obrzucali się wyzwiskami.

Reynolds zwrócił się do Jupitera:

- Powinieneś być nam powiedzieć o tym sygnalizatorze.

- Nie byłem pewien, czy działa, i nie chciałem, żebyście na niego liczyli i zaniechali innych starań. Fred mógł znaleźć sygnalizator lub zmienić ubranie. Widocznie obaj byli zbyt zaabsorbowani ucieczką i udało się nam!

Komendant się uśmiechnął.

- Tak, doprawdy się udało. Świetnie sprawiliście się, chłopcy! Chłopców rozpierała duma. Ian, który wreszcie nie czuł się jak zatrwożony uciekinier, uśmiechał się wraz z nimi.

- Teraz mój ojciec może prowadzić dalej swoje dzieło - powiedział.

Ian i Jupiter, niczym para pulchnych bliźniaków, stali ramię przy ramieniu i śmiali się do siebie.

## Rozdział 21

### Alfred Hitchcock oferuje pewną pomoc

Kilka dni potem Trzej Detektywi udali się z wizytą w góry Santa Monica do pana Hitchcocka. Znany reżyser wysłuchał uważnie sprawozdania z całej akcji ratowania Iana Carewa.

- Wspaniała robota! - wykrzyknął, gdy skończyli. - Wszyscy tym razem wykazaliście prawdziwie profesjonalne umiejętności.

- Dziękujemy - odpowiedział z zadowoleniem Jupiter.

- Tak... - w oczach pana Hitchcocka pojawił się figlarny błysk. - W tej sprawie również Pete i Bob wykazali się znakomitym zmysłem obserwacyjnym i umiejętnością dedukcji. Można właściwie powiedzieć, że to oni naprawdę rozwiązali sprawę.

Pete i Bob szczerzyli zęby w uśmiechu, a kiedy Jupiter zaczął się czerwienić, Pete szybko wyciągnął maleńki kiel, kolczyk, który zdradził Annę Lessing.

- Hmm... myśleliśmy, że może zechciałby pan zatrzymać to na pamiątkę.

Pan Hitchcock z namaszczeniem wziął od niego kolczyk.

- Zachowam to wraz z innymi cennymi pamiątkami z waszych akcji. Ale co z tymi łobuzami? Co się z nimi stanie?

- A więc - zaczął Jupiter wciąż trochę zirytowany - policja może ich na długo zamknąć do więzienia za tak poważne przestępstwo, jak porwanie.

- Na co sobie zasłużyli - wtrącił pan Hitchcock.

- To prawda - przyznał Jupiter - ale to porwanie było w gruncie rzeczy aktem politycznym i dotyczyło obywateli obcego kraju. Tak więc policja zdecydowała się deportować ich do Nandy. Tamtejszy rząd ukarze ich tak, jak będzie uważał za stosowne.

- Wczoraj odbyły się w Nandzie wybory - podjął Bob. - Ekstremiści tak się zdyskredytowali tym porwaniem, że sir Roger wygrał z wielką przewagą głosów. Zyskał tym samym mocną podstawę do budowy niepodległego kraju rządzonego przez czarną większość.

- Sir Roger mówi, że za parę lat wypuści porywaczy na wolność, jeśli będą się dobrze sprawowali i starali się współpracować z większością - dodał Pete.

- To dobry pomysł - skinął głową pan Hitchcock. - Przestępstwa dokonali z nadmiaru oddania własnej sprawie. Wierzyli, że słuszność jest po ich stronie i że to usprawiedliwia każde działanie. Tak więc, sprawa zakończona?

- No, został nam jeden problem - odpowiedział Pete. - Nie możemy wymyślić dobrego

tytułu dla tej sprawy. Czy może nam pan pomóc?

- Hmm... Co powiecie na "Tajemnicę zabójczego sobowtóra"?

- Doskonały tytuł - powiedział Bob. - Ian jest sobowtorem Jupe'a, a ściągnął na niego masę kłopotów!

- Tytuł jest dobry także z innego powodu - dodał Pete, chichocząc.

- Co masz na myśli? - zapytał Bob.

- Jupe jest nieco otyły, jak zauważyliście. Czy to nie jest zabójcze zarówno dla Jupe'a, jak i dla Iana być sobowtorem grubasa?

Wszyscy oprócz Jupitera wybuchnęli śmiechem.

- Nie widzę nic zabawnego w tej uwadze - powiedział zażywny przywódca oficjalnym tonem.

- Wybacz mi, Jupe - przeprosił Pete - ale nie mogłem się powstrzymać.

W końcu Jupiter się uśmiechnął. Chłopcy podziękowali reżyserowi za czas, jaki im poświęcił, i wyszli.

Pan Hitchcock pozostał sam i zamyślił się nad niebezpieczeństwami i zawilościami sprawy. Jupiter, mimo swej tuszy, i jego sprawni pomocnicy mogą wpędzić w kłopoty każdego przestępcę, z którym się zmierzają. Jaka tajemnicza przygoda czeka teraz Trzech Detektywów?